

70 TYSIĘCY

KIEROWCÓW Z DOŻYWOTNIM ZAKAZEM

BEZKARNI

BEZCZELNI

BEZMYŚLNI





JESTEŚ WSZECHŚWIATEM

HISTORIA MIŁOSNA INNA NIŻ WSZYSTKIE

REŻYSERIA
PAWŁO OSTRIKOW

W KINACH OD 5 WRZEŚNIA

AURORA

Solidarni z Joanną Dunikowską-Paź

Przemoc zaczyna się od słowa. Ta dość oczywista prawda niestety zbyt wolno trafia do głów. A do realnego życia jeszcze wolniej.

Wszystkie próby okietzania mowy nienawiści spotykają się z bezpardonowym atakiem ze strony PiS i Konfederacji. Kolejne projekty wprowadzenia regulacji prawnych, które poprawiłyby sytuację, są traktowane jako atak na wolność słowa. Rzekomy atak. Na prawdziwe i rosnące zdziwienie. Na bezkarność kłamców i hejterów. Kto broni obecnego parszywego stanu rzeczy? Ci, którzy czerpią korzyści z budowania atmosfery wojny między Polakami. Dla nich wolność słowa to prawo do robienia, co się chce, z tymi, którzy mają inne zdanie. Czyli do bezkarnego robienia z przeciwnikami wszystkiego, co najgorsze. Takie mają paliwo. W partiach i na zapleczu medialnym. Będą go więc zaciekle bronić. Także dlatego, że nie mają innych, również skutecznych narzędzi podgrzewania napięć i budowania negatywnych emocji u ludzi. U tych, którzy ich popierają z bardzo różnych powodów.

Symbolem tego, co w tych zachowaniach było najgorsze, jest Maciej Świrski, który sam siebie nazwał talibem PiS. Stanie przed Trybunałem Stanu, choć przecież za tak rażące naruszenie prawa to sankcja mocno symboliczna. Obsadzając go w roli strażnika wolności słowa, prezes Kaczyński zakpił sobie ze społeczeństwa. Świrski w tej roli to przykład tego, co w PiS i u Kaczyńskiego najgorsze. Tacy są. A wraz z pełną władzą, jaką mieli przez osiem lat, utracili poczucie wstydu. Dlatego są – i to się nie zmienia – partią żenady i obciachu. Tenże Świrski, który nigdy nie zareagował



Jerzy Domański MÓJ PRZEGLĄD

na skargi związane z mową nienawiści w mediach pravicowych, karaf media krytykujące PiS. Takie miał dyspozycje.

Obóz pravicowy utwierdził się w przekonaniu o własnej bezkarności, co dotkliwie odczuła Joanna Dunikowska-Paź, dziennikarka TVP. Przypisano jej zadanie kompromitującego pytania na konferencji prasowej. Pytania nie zadała, bo na tej konferencji nie była. Nie przeszkadzało to hejterom. Kłamali Krzysztof Stanowski (Kanał Zero), Marzena Paczuska (KRRiT), Michał Gramatyka (wiceminister cyfryzacji z Polski 2050) i Danuta Holeccka (Republika). Bezwstydnie kłamali nawet wtedy, gdy poznali fakty. Ich zachowanie to dowód, że nienawiść zaślepia. Musimy takie postawy pokazywać i piętnować. Pani Joanno, solidaryzuję się z Panią, bo brzydzę się tymi, którzy tak kłamią. Genię też to, co Pani robi.

APEL DO CZYTELNIKÓW

Im dalej od rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, tym mniej prawdy. Wygrywa propaganda. I doraźne interesy polityków. Muzeum powstania jak fotoplastykon i koncerty powstańczych piosenek. Taki obraz dociera do młodzieży. Nie godzimy się na to. Mamy bardzo dobrze udokumentowane dwa tomy „Zakłamanej historii powstania”. Pokazujemy w nich, jak było naprawdę. Warto je kupić. Dla dzieci i wnuków. Powiedzieć o nich znajomym. Prawda sama się nie obroni.



sklep.tygodnikprzeglad.pl

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Bezkarni! Bezczelni! Bezmyślni!**
Drogowi recydywiści nie boją się prawa
- 12 Czarny dzień polskiej dyplomacji**
Jak Nawrocki chciał uczyć Trumpa
- 15 Wyrzędziliśmy Grecję**
Inwestować to my nie umiemy
- 18 Klakierzy Nawrockiego**
Prezydent mianował swoich doradców
- 22 Chorzowska estakada zamknięta**
Paraliż komunikacyjny w regionie
- 26 Nie było jednej chłopki**
– rozmowa z Antoniną Tosiek

HISTORIA

- 30 Złoto dla ministrów**
Władysław Sikorski strofuje Składkowskiego

OPINIE

- 34 Jarosław Dobrzański**
Świadek wielkich transformacji

SPORT

- 38 Pół kroku do historii**
Polskie kluby w Lidze Konferencji

ZAGRANICA

- 40 Kto opodatkuje miliarderów?**
Korespondencja z Francji
- 43 Nie pluj, nie pij, nie hałasuj**
Cywilizowanie turystyki w Europie

KULTURA

- 46 Walczę o miejsce dla horroru**
– rozmowa z Bartoszem M. Kowalskim
- 50 Magia przestrzeni**
W Zachęcie artyści zafascynowani „pustką”
- 52 Culturalia**
- 66 Crafts Fiction**
Przekraczanie granic rzemiosła

ZWIERZĘTA

- 54 Życie w potokach**
Muchówki, chruściki, pijawki i inne

OBSERWACJE

- 57 Uwielbiam Wenecję**
Miasto okiem Jacka Pałkiewicza
- 60 Oleandry. Niebezpieczne piękno Południa**
Coraz popularniejsze, lecz trujące

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Solidarni z Joanną Dunikowską-Paź
- 25 Jan Widacki**
Co dalej z Ukrainą?
- 37 Roman Kurkiewicz**
Chleba i... czego jeszcze?
- 49 Tomasz Jastrun**
Hodowla potwora
- 53 Wojciech Kuczok**
Wyjechali



38

SPORT

PÓŁ KROKU DO HISTORII

Polskie kluby w Lidze Konferencji



43

ZAGRANICA

NIE PLUJ, NIE PIJ, NIE HAŁASUJ

Cywilizowanie turystyki w Europie



57

OBSERWACJE

UWIELBIAM WENECJĘ

Miasto okiem Jacka Pałkiewicza

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI/SUPER EXPRESS/EAST NEWS



f Wielka masakra kotów

Politycy kłamią z różnych powodów. Najczęściej dlatego, że uważają, iż ludzie nie są w stanie znieść złej prawdy, nawet najbardziej oczywistej. Ci sami politycy kłamią lub przekręcają prawdę także w celu zdobycia lub zachowania władzy. Aby uzyskać poparcie wyborców, mogą obiecywać rzeczy, których nie są w stanie zrealizować. Kłamstwa mogą być stosowane w celu manipulowania opinią publiczną, kształtowania narracji lub dezinformowania. Politycy mogą wykorzystywać fałszywe informacje, aby wprowadzić ludzi w błąd w celu osiągnięcia własnych celów. Deklaracje, zapowiedzi i plany to słowa na wiatr, niemal zawsze są pozbawione znaczenia, opieranie się na nich i branie ich za dobrą monetę przez wyborców jest bezcelowe. Bo słowa polityków są zwykle zupełnie inne niż późniejsze działania. Czy kłamstwo w polityce można wyeliminować? Prawdopodobnie nie, bo wynika ono z samej natury gry o władzę. Ale można ograniczać jego skutki, wzmacniając kulturę odpowiedzialności i przejrzystości życia publicznego. Kiedy kłamstwo zaczyna mieć realną cenę – w postaci utraty poparcia czy stanowiska – pojawia się motywacja, by mówić prawdę. Do tego potrzebne jest jednak coś więcej niż dobre prawo. Potrzebne jest społeczeństwo, które potrafi słuchać prawdy, nawet jeśli jest ona mniej przyjemna niż wygodna iluzja.

Michał Czarnowski

✉ Była prezydentowa mówi

Agata Kornhauser-Duda w ostatnim dniu urzędowania męża odezwała się (!). I co powiedziała? Że „to jest już koniec, nie ma już nic. Jesteśmy wolni, możemy iść”, zaznaczając, że to jak w piosence jej ulubionego zespołu Elektryczne Gitary. I zaśmiała się głośno, może nawet szczerze. Skoro to jej ulubiony zespół, to czy 10 lat temu podśpiewywała sobie pod nosem: „I co ja robię tu, mieć te przestrzenie na jedno skinienie, wiele wynagrodzi. Nie trzeba tęgich głów, takie okazje, bale i lokale chcą, bym się narodził”. To fragment piosenki Elektrycznych Gitar „Co ty tutaj robisz?”.

Anna Nalewajska

f Uzależnieni gonią za mirażem

W przypadku alkoholu pierwszym krokiem do nałogu jest przyjemność ze stanu euforii po wypiciu. Jednostki o słabej psychice chcą ten stan powtórzyć przy pierwszej możliwej okazji, nie zważając na konsekwencje (kac). A jak to z uzależnieniami bywa, osiągnięcie tego samego efektu z czasem wymaga coraz większych dawek. Co do kobiet, uzależniają się szybciej, bo na ogół wazą mniej od mężczyzny, toteż alkohol szkodzi im bardziej.



Gwidon Naskrent

f Nasi chłopcy berlingowcy

Pamiętajmy, że to IPN był największym fałszerzem historii, gloryfikując „wykłych” – przeklętych przez ludność powojennych bandziorów z lasów, a szefem IPN był miłościwie nam obecnie panujący prezydent, więc nie dziwi mnie usuwanie berlingowców w niebyt.



Anna Olesiejuk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Stanisław Sojka, jeden z najważniejszych głosów polskiej sceny muzycznej, zmarł nagle 21 sierpnia 2025 r. Powszechnie znane są jego pełne emocji autorskie ballady, aranżacje jazzowe i soulowe oraz mistrzowskie interpretacje sonetów Szekspira, utworów Norwida czy Miłosza.



Prezydent Nawrocki zawetował tzw. ustawę wiatrakową, która zakładała zamrożenie cen energii. Według sondażu IBRIŚ dla „Rzeczpospolitej” 55,8% ankieterów było za jej podpisaniem, a 33,9% przeciw.

Cezary Stypułkowski, prezes Pekao SA, poinformował o fikcyjnym zatrudnianiu w banku doradców z rekomendacji PiS. 18 doradców zarobiło ok. 30 mln zł. Jarosław Olechowski, były szef TAI, dziś w Republice, za niecały rok zarobił 1,39 mln zł, Agnieszka Piesiewicz, żona pisowskiego prezesa PKOl, w ciągu siedmiu miesięcy ponad 1 mln zł, Witold Kornicki, brat Zbigniewa Ziobry, 6 mln zł w trzy lata.

Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy Pekao SA nie udzieliło absolutorium byłemu prezesowi banku Leszkowi Skibie i byłemu wiceprezesowi Piotrowi Zborowskiemu.

Oficjalnie zarejestrowanych w Polsce jest **191 Kościołów i innych związków wyznaniowych**.

W Konferencji Episkopatu Polski ton nadaje frakcja skrajnie konserwatywna, czyli przewodniczący episkopatu abp Tadeusz Wojda, abp Marek Jędraszewski, bp Sławomir Oder oraz biskupi emeryci Andrzej Dzięga, Stanisław Gądecki i kard. Stanisław Dziwisz.

7 mld euro wydała w latach 2019-2024 Komisja Europejska na działania mające wywierać wpływ na Parlament Europejski. Większość była wymierzona w rolnictwo. Dotyczyły

one wprowadzania Zielonego Ładu i umowy z państwami Mercosur. Zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa trafiło do prokuratury w Monachium.

Zmarł Stanisław Soyka (66 lat), wybitny wokalista jazzowy i popowy oraz kompozytor. Ceniony i powszechnie lubiany artysta.

Kornelia Wieczorek, 17-letnia uczennica III LO w Gdyni, trafiła na listę Girls of the Year 2025 magazynu „Time”. Doceniono jej osiągnięcia naukowe, m.in. opracowanie biodegradowalnego nawozu oraz aplikacji pomagającej diagnozować zmiany skórne.

Na Bałtyku są „czarne dziury”, m.in. w Międzyzdrojach pojawiają się tzw. prądy wsteczne, które wciągają pływaków w głąb morza i uniemożliwiają im dopłynięcie do brzegu.

W 2024 r. chorobę odkleszczową lekarze rozpoznali u 98 tys. osób. 10 lat wcześniej chorych było ponad 43 tys. (Narodowy Fundusz Zdrowia).

40% Amerykanów nigdy nie opuściło kraju, a połowa z nich nie ma nawet paszportu.

Tylko 40% Polek w wieku 20-60 lat regularnie bada piersi (**raport Maison & Partners dla Henkel Polska**).

W Polsce jest ponad 80,6 tys. zabytkowych nieruchomości wpisanych do rejestru zabytków. Są wśród nich kościoły, pałace, kamienice, obiekty przemysłowe, parki, osiedla, stare miasta i dzielnice.

PRZEBŁYSKI

BNP Paribas na czarnej liście

BNP Paribas Bank Polska, który jest coraz większą złą polskim rolników, wydaje krocie na promocję swoich kulałych usług. Czemu to francuscy mądrze nie wciskają polskim klientom! Było hasło „Zmieniamy się dla Ciebie”, to je twórczo rozwinęli: „Bank zmieniającego się świata”.

Czegoś jednak brakuje. Przydałaby się informacja o raporcie eksperti ONZ Franceski Albanese. Dokument „Od ekonomii okupacji do ekonomii ludobójstwa” dotyczy wojny w Strefie Gazy i wzywa do nałożenia sankcji i pociągnięcia do odpowiedzialności za wspieranie nielegalnych działań Izraela przeciwko Palestynie. Kogóż widzimy na liście oskarżonych koncernów? BNP Paribas! A tyle mówią o etyce swojego biznesu. Czy klienci banku wiedzą, kogo wspierają, mając konta w BNP Paribas?



Królewskie geny Nawrockich

Szukacie rozrywki? Spójrzcie na rodzinę Karola Nawrockiego. Na nich można liczyć. Wujek prezydenta Waldemar Nawrocki błysnął w ulubionym tytule wyborców tej partii, która chce wrócić do władzy. Wujek poszedł po bandzie i doszukał się u Kasi, sześciolatniej córki Nawrockich, „genów królewskich”. Jakby mało było tego sensacyjnego odkrycia, dołożył jeszcze, że „rośnie nam kolejne pokolenie królewskie i prezydenckie”. Pierwszy trener, który uczył boksu Karola, sam tego nie wymyślił. Zgadnijcie, od kogo to usłyszał. Za tydzień opiszemy inne wyznania wujka Waldemara.

Dobrze być pisowskim zięciem

Z fałszywą troską pochylamy się nad Renatą Janik, marszałek województwa świętokrzyskiego z PiS. Ważna postać dojrzałej zmiany ma odpowiedzialną funkcję, a zdrowie niestety szwankuje. Janik niedowidzi. I z myśleniem też nie halo. Nie wie np., co to konflikt interesów. Nie widzi problemu w podpisaniu decyzji o przyznaniu środków publicznych z KPO osobistemu zięciowi. 4 mln 360 tys. zł piechotą nie chodzi. Ileż to jachcików można by za nie kupić. Czekamy więc na protesty moralistów: Kaczyńskiego, Nawrockiego, Czarnka czy Sasina. Choć wiemy, że prędzej w siedzibie PiS pojawi się ufoludek. Janik może nie widzieć konfliktu interesów w obdarowywaniu naszą kasą najbliższej rodziny, ale 4 bańki trzeba będzie oddać.



Diecezja bez miłosierdzia

Sąd sądem, ale kasy szybko nie oddamy. Taka zasada obowiązuje w diecezji legnickiej. Może dlatego, że kasa nie jest mała. Chodzi o dwa przelewy po 475 tys. zł. Na tyle sąd w Legnicy wycenił krzywdę dwóch 10-letnich dziewczynek z niepełnosprawnością, które miały wielkiego pecha, bo do pierwszej komunii przygotowywał je pedofil. Piotr M., proboszcz parafii w Rusowie. W trakcie śledztwa zgłosiło się jeszcze kilkanaście, dziś dorosłych, ofiar tego księdza z lat 80., z parafii na wrocławskim Brochowie. Wyrok: cztery lata więzienia, dożywotni zakaz pracy z dziećmi i zadośćuczynienie po 475 tys. zł. Ale kuria ani myśli płacić. Szykuje się do odwołania. A więc do długiego, kosztownego procesu. Nie ma zmituj.



PYTANIE TYGODNIA | W jakich sprawach Polacy najczęściej oszukują?

KATARZYNA KUCEWICZ,
psycholożka, psychoterapeutka

Z moich obserwacji i dostępnych badań wynika, że najczęściej kłamiemy w pracy. Już od wysłania CV aż po regularny etat tworzymy obraz siebie, swój wizerunek, który często odbiega od tego, jacy jesteśmy naprawdę. Na przykład w CV zawyżamy swoje kompetencje, wymyśliłyśmy hobby czy podrasowujemy doświadczenie, z kolei w pracy część z nas ma tendencję do oszukiwania na temat swojej pracowitości – pokazujemy, że pracujemy więcej niż naprawdę. Takie kłamstwa w pracy wynikają z lęku przed odrzuceniem, utratą stanowiska lub degradacją. Większość naszych kłamstw wynika nie z cwaniactwa, raczej z obawy, że prawda sprawi, że ktoś nas odepchnie.

MIRON NALAZEK,
specjalista ds. komunikacji społecznej

Można powiedzieć, że nic, co ludzkie, nie jest nam obce. No, chyba że jest to coś, czego się wstydzimy. Wtedy staramy się udawać, że tego nie ma. Przeczytałem kiedyś w podręczniku o savoir-vivre, że etykieta ma wersję europejską i amerykańską. Podano przykład kompromitującej sytuacji, jaką jest puszczenie w towarzystwie bąka. Według autorów, jeśli przydarzy się to na lekcji niemieckiemu dziecku, ono natychmiast wstaje, przeprosza i w ramach kary wychodzi z klasy. U Amerykanów jest inaczej. Do bąka nikt się nie przyznaje, bo w USA panuje

kultura zwycięzców. Przyznać się do takiej wpadki to publiczna porażka. Wszyscy więc, z utajonym winowajcą włącznie, siedzą w smrodzie. Najczęściej oszukujemy właśnie po to, aby uniknąć kompromitacji, nieprzyjemnych konsekwencji lub dla podtrzymania status quo. Nie wyróżniamy się tutaj na tle innych nacji. Co pocieszające, dość często oszukujemy, aby chronić innych.

JACEK STRAMIK,
stand-uper, współautor książki „Łapy precz od żartów”

Polacy najczęściej oszukują w sprawach własnościowych, udając, że kawałek plaży, na którym kładą swoje husarskie pupy, należy wyłącznie do nich. Zastaniają się przy tym parawanem i konstytucją! Równie często oszukują w sprawach religii. „Wierzę w jednego Boga”, mówią w kościele. Tymczasem Wakacje All-inclusive i Niskie Podatki to ich prawdziwe bóstwa! Polacy sympatyzujący z Konfederacją najczęściej oszukują w sprawach podatkowych. Polacy głoszący na PiS najczęściej oszukują w sprawach dekalogu. Polacy ślepo popierający działania rządu suszą zęby w sztucznych uśmiechach. Tylko Polacy związani z lewicą nie kłamią – to stara prawda. Taka sama jak stwierdzenie greckiego filozofa i poety Epimenidesa, że „wszyscy Kreteńczycy to kłamcy”. Problem w tym, że Epimenides pochodził z Krety.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

70 tysięcy kierowców z dożywotnim zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych

BEZKARNI! BEZCZELNI! BEZMYŚLNI!

Kornel Wawrzyniak

Piraci drogowi jeżdżą pomimo odebranych uprawnień. Często są przy tym pijani i naćpani. W konsekwencji giną postronni uczestnicy ruchu drogowego. Nikt nie chce stracić życia z rąk zabójcy, zostać pobitym albo okradzionym. Dlaczego więc mamy tak dużą tolerancję dla drogowych przestępców?

Według Komendy Głównej Policji obecnie ponad 70 tys. osób w Polsce ma orzeczone dożywotnie zakazy prowadzenia pojazdów, zakazów czasowych jest zaś ponad 200 tys.

Statystycznie każdego dnia policja zatrzymuje 69 kierowców z zawieszonymi lub odebranymi uprawnieniami.

Robert Opas, przedstawiciel Biura Ruchu Drogowego KGP, wspominał w mediach, że policji zdarza się zatrzymywać rekordzistów, którzy mają nawet kilkanaście tego typu zakazów. W samym 2024 r. odnotowano trzy interwencje, w których kierowcy mieli po 19 zakazów prowadzenia pojazdów.

– Musimy być skuteczni już nie tylko jako policjanci, ale jako całe państwo, aby te osoby za kierownicę nigdy w życiu nie wsiadły, bo wcześniej popełniły bardzo poważne przestępstwa w ruchu drogowym. Najczęściej mówimy o uczestnictwie w wypadkach drogowych czy

poruszaniu się w stanie skrajnej nietrzeźwości za kierownicą pojazdu – podkreśla Robert Opas.

Martwy przepis

We wrześniu 2024 r. w gminie Żaluski pod Płońskiem doszło do wypadku, w którym na drodze nr 10 zginęły dwie osoby. Sprawca zdarzenia uciekł, nie udzielając pomocy ofiarom. Kilkanaście minut później ten sam 35-letni kierowca seata doprowadził do czołowego zderzenia w miejscowości Sokolniki. Tym razem nie udało mu się uciec. Mundurowym wyjaśnił, że nie zatrzymał się w miejscu pierwszego zdarzenia, gdyż nie wiedział,

czy skończył mu się już sądowy zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych. W toku czynności okazało się, że sąd już kilkakrotnie zatrzymywał mężczyźnię uprawnienia. Jak widać, kierowca seata nic sobie z tego nie robił.

Tylko w zeszłym roku aż 16 534 osoby naruszyły sądowy zakaz prowadzenia pojazdów, a 8281 nie zastosowało się do decyzji o cofnięciu uprawnień do kierowania. Oczywiście mówimy wyjątkowo o ujawnionych przypadkach. Nie lepiej jest z pijanymi kierowcami. Do 19 sierpnia br. policja zatrzymała 61 920 nietrzeźwych kierowców. Pytanie, skąd

ten brak pokory wobec przepisów i konsekwencji nieprzestrzegania prawa.

– W przypadku lęku przed konsekwencjami popełniamy pewien błąd w postrzeganiu zjawiska, jakim jest kierowca na drodze. Mamy bowiem poczucie, że to jakiś bardzo indywidualny osobnik o specyficznych cechach. Zupełnie jakby wywodził się z innego społeczeństwa, może nawet z innej galaktyki. Nie zdajemy sobie sprawy, że to pewien mechanizm psychologiczny, który dotyczy wielu aspektów ludzkiego życia, np. kradzieży. Złodziej kradnie, jest łapany, idzie do więzienia, po czym wychodzi i znowu kradnie. I nie obawia się, że ponownie pójdzie do więzienia. Podobne nawyki stoją za korzystaniem z pojazdu w sytuacji zakazu prawnego czy używania alkoholu jako nieodłącznego elementu prowadzenia pojazdu. Nie ma więc co poszukiwać jakichś specyficznych cech u takich kierowców. To są najczęściej zaburzenia osobowości albo mała umiejętność krytycznego myślenia – wyjaśnia psycholog transportu dr Wojciech Korchut.

Tymczasem uprawnienia do końca życia traci się za poważne przestępstwa drogowe, takie jak jazda pod wpływem alkoholu lub narkotyków, spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym lub ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu albo ucieczka z miejsca wypadku. Powtórzmy: mamy aż 70 tys. takich kierowców.



Sprawca karambolu na S3 pod Szczecinem nie przyznał się do winy.
10 czerwca 2019 r.

których należy przestrzegać. To skutkuje niestosowaniem się takiej osoby do obostrzeń czy nakazów. W przypadku osób dokonujących przestępstw kryminalnych, takich jak kradzieże czy rozboje, rozumiemy, że dopuszczają się recydywy, a osobom funkcjonującym w tym klimacie trudno się przestawić na inne działania. Natomiast w przypadku kierowców nadal zadajemy sobie pytanie, dlaczego jeżdżą po spożyciu alkoholu czy bez uprawnień. Ale to ten sam mechanizm co u przestępców. Żyjemy w kraju drogowych recydywistów – podkreśla dr Korchut.

Zdają się o tym świadczyć statystyki. Nieprzestrzeganie sądowego zakazu prowadzenia pojazdów jest zjawiskiem nagminnym. Statystycznie każdego dnia policja zatrzymuje 69 kierowców z zawieszonymi lub odebranymi uprawnieniami. Od 2017 r. kara za złamanie sądowego zakazu prowadzenia pojazdów wynosi od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Nie robi to jednak wrażenia na drogowych recydywistach. Według portalu Otomoto.pl dziś jedynie co czwarty zatrzymany trafia do więzienia, i to zwykle na kilka miesięcy, maksymalnie na rok.

W połowie lipca w Sejmie pojawił się projekt zmian w przepisach ruchu drogowego. „Przyjęty przez rząd projekt nowelizacji został już skierowany do pierwszego czytania w parlamencie. Kancelaria Prezesa Rady Ministrów zaznacza, że celem zmian jest skuteczna walka z piratami drogowymi. Przewidziane sankcje są surowe i mają dotknąć jedynie tych, którzy swoim zachowaniem rażąco naruszają bezpieczeństwo na drogach”, czytamy w magazynie „Auto Świat”.

Nie zabrakło też wzmianki o zastrzeżeniu sankcji za łamanie zakazu prowadzenia pojazdów. Według proponowanych zmian wobec recydywistów sądy będą mogły orzekać

dożywotnie zakazy kierowania pojazdami. Problem polega na tym, że na razie, nawet mając dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów, po upływie 10 lat można się starać o jego zniesienie i ewentualnie wrócić za kółko. Społeczeństwo dostaje więc sygnał, że nie ma czegoś takiego jak nieuchronność kary, bo nawet dostając najwyższą przewidzianą sankcję, po jakimś czasie można zacząć wszystko od nowa. Liczba drogowych recydywistów poraża – można ją ująć w setkach tysięcy.

– Osoba z obniżonym krytycyzmem, mówiąc kolokwialnie: „o małym rozumku”, nie pojmuje sytuacji społecznych czy tego, że jesteśmy obwarowani prawnie przepisami,

16 stycznia br. na moście w Kostrzynie zderzyły się trzy samochody. Sprawcą wypadku był kierowca audi, który nie dostosował prędkości do panujących warunków i wpadł w poślizg, zderzając się czołowo z autobusem. Okazało się, że kierujący pojazdem 23-latek miał orzeczonej przez sąd zakaz prowadzenia pojazdów. Najbardziej ucierpiała jadąca z mężczyzną pasażerka, która trafiła do szpitala z kilkoma złamaniami.

W październiku 2024 r. w miejscowości Huta Szklana doszło do zderzenia samochodu ciężarowego należącego do betoniarni z osobówką. Kierowca ciężarówki Dawid S. jeździł bez uprawnień od około trzech miesięcy. W dodatku jako strażakowi Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej Będzin zdarzało mu się w ramach czynności kierować pojazdami. Gdy sprawa wyszła na jaw, Dawid S. został zwolniony ze służby. ▶

► Czym skorupka za młodu nasiąknie...

Równy tydzień przed ukazaniem się tego numeru Komenda Główna Policji opublikowała takie dane – z jednego dnia, 18 sierpnia: 589 zatrzymanych kierujących po spożyciu alkoholu, 66 wypadków drogowych, w tym 8 ofiar śmiertelnych i 76 rannych. W długi sierpniowy weekend poprzedzający ten feralny poniedziałek było jeszcze gorzej. „Podczas minionego długiego weekendu na polskich drogach doszło do 360 wypadków drogowych (288 w 2024 r.), w wyniku których zginęło 41 osób – to aż o 17 osób więcej niż w ubiegłym roku. 431 osób zostało rannych (345 w 2024 r.). Policjanci zatrzymali 1450 kierujących po spożyciu alkoholu (1431 w 2024 r.)”, czytamy w komunikacie KGP.

W tekście „Kraj drogowych zabójców”, który ukazał się na łamach „Przeglądu” 14 lipca br. (nr 29/2025), wspominałem o przygotowywanej przez policję co wakacje mapie wypadków drogowych ze skutkiem śmiertelnym. Niecałe dwa miesiące temu licznik wskazywał 54 ofiary śmiertelne. W dniu, kiedy oddaję ten tekst do druku, na mapie widnieje już liczba 271. Przez ten krótki wakacyjny czas zginęło ponad 200 osób. Sytuacja na polskich drogach w ogóle się nie polepsza. A drobne odchylenia w poszczególnych latach nie zwiastują rychłej poprawy. Trudno jednak spodziewać się czegoś w kraju, gdzie jest problem z wyegzekwowaniem kary.

– Warto pamiętać, że dorastający człowiek kształtuje się poprzez oddziaływanie środowiska, w którym się znajduje. Również porządku prawnego i tego, czy go przestrzegamy, czy nie. Jesteśmy krajem trochę rozchwianym. Po pierwsze, przeżyliśmy jedną wielką i kilka mniejszych transformacji. To nowe społeczeństwo uczyło się wszystkiego od początku. Nie mamy tym sposobem stabilnych i ugruntowanych przepisów. Przykładem niech będzie konfiskata samochodu. Raz mieli zabierać, potem nie zabierali, teraz zabierają w konkretnych przypadkach, ale już słychać, że chcą z tego

znowu zrezygnować. Mandat raz wynosi 100 zł, ale czasem tylko 50 zł. Ta legislacyjna niestabilność ma wpływ na pewne przyzwolenie społeczne dla cwaniactwa. W ludziach buduje się przeświadczenie, że zawsze jakoś uda im się wymigać. I jest to przekonanie słuszne, bo wiele spraw, nawet medialnych, zostaje zamiecionych pod dywan – mówi dr Wojciech Korchut.

Samochód – idealne narzędzie zbrodni

Według art. 177 Kodeksu karnego, który dotyczy spowodowania wypadku w ruchu drogowym skutkującego obrażeniami czy śmiercią, określone jest, że za zabicie człowieka w następstwie wypadku można zostać pozbawionym wolności na maksymalnie osiem lat. Nie lepiej jest, jeśli spowoduje się wypadek pod wpływem alkoholu, za co grozi kara pozbawienia wolności od dwóch do 12 lat. Tymczasem za zabójstwo można dostać od 10 lat do dożywocia.

18 sierpnia 2025 r.: 589 zatrzymanych kierujących po spożyciu alkoholu, 66 wypadków drogowych, w tym 8 ofiar śmiertelnych i 76 rannych.

Warto zadać sobie pytanie, czym się różni rozpędzona maszyna ważąca półtorej tony pod wątpliwą kontrolą pijanej osoby od pijaka, który biega między ludźmi z nabitą bronią. To pytanie nie jest do końca retoryczne. W praktyce – przynajmniej w Polsce – ryzyko bycia postrzelonym jest sporo niższe niż śmierci w wypadku drogowym. W ciągu 10 lat z broni myśliwskiej zginęło 26 osób. Na drogach tysiące. Oczywiście wpływa na tę różnicę ograniczony dostęp do broni...

18 sierpnia 2025 r. nieopodal Mielca zginęło troje nastolatków. W ich samochód wjechał pijany kierowca lawety, który według ustaleń lokalnych mediów akurat uciekał przed policją, bo nie zatrzymał się do kontroli drogowej. Kierowca lawety miał 1,5 promila alkoholu w wydychanym powietrzu. Tego samego

dnia sandomierska policja zatrzymała kierowcę audi. 29-latek porzucił samochód i ukrywał się w krzakach. Mężczyznę jednak zatrzymano. Miał prawie 3 promile alkoholu w organizmie. Przebija go kobieta zatrzymana 14 sierpnia w miejscowości Babianka. 41-letnia mieszkanka Lublina miała w organizmie ponad 3 promile, ale to nie koniec horroru, bo wiozła dwójkę swoich dzieci, w wieku siedmiu i ośmiu lat. 20 sierpnia w Szlichtyngowej pijany kierowca potracił sześciolatniego chłopca. Dziecko w stanie ciężkim przetransportowano helikopterem do szpitala. Ten kierowca również miał 1,5 promila. 10 dni wcześniej pod Radomskiem pijany kierowca (1,3 promila alkoholu) wjechał w pielgrzymkę, potrafcząc 10 osób, w tym dwuipółletnie dziecko.

Podsumujmy. Maksymalna kara za zabicie człowieka, gdy narzędziem staje się samochód, to de facto osiem lat więzienia. Wspomnianemu sprawcy śmiertelnego wypadku, w którym zginęła trójka nastolatków, grozi do 20 lat więzienia. A i to głównie dlatego, że prowadził nietrzeźwy. Tymczasem w innych sprawach

kryminalnych za zabójstwo choćby jednej osoby można dostać nawet karę dożywocia. Przy planowaniu zabójstwa samochód jest zatem najlepszym wyborem. Jeśli zabójca „uzbrojony” w samochód będzie trzeźwy, może zostać uznany za ledwie za sprawcę nieumyślnego spowodowania śmierci i dostać wyrok w zawieszeniu.

Społeczeństwo domaga się, żeby drogowych przestępców traktować ostrzej. Wystarczy prześledzić reakcje internautów choćby po wypadku na drodze A1 z udziałem Sebastiana M. Przypomnijmy: w 2023 r. bmw prowadzone przez Sebastiana M. uderzyło z ogromną prędkością w samochód marki Kia, którym jechała trzyosobowa rodzina. Para wraz z pięcioletnim dzieckiem splotęła. Kierowca zbiegł do Dubaju, skąd ściągnięto go do Polski.

Właśnie czeka na proces. Użytkownicy sieci prowadzili nawet własne śledztwo, aby ustalić tożsamość kierowcy bmw.

Sposobu na drogowych recydywistów można szukać w innych krajach. Wielu specjalistów stawia za wzór Finlandię, gdzie, po pierwsze, działa czynnik psychologiczny, czyli nieuchronność kary. Po drugie, część mandatów jest w Finlandii uzależniona od dochodów kierowcy.

O ile przekroczenie prędkości o 20 km/godz. oznacza w Finlandii grzywnę w wysokości do 200 euro, o tyle powyżej 21 km/godz. zaczyna się zabawa: wtedy kara liczona jest w stawkach dziennych (minimum 14). Do tego jest tym drożej, im bardziej przekroczono limit i im zamożniejsza osoba, która dopuściła się zbyt szybkiej jazdy. Dwa lata temu pisano o przypadku przemysłowca Andersa Wiklöfa, który za przekroczenie prędkości o 32 km/godz. dostał mandat w wysokości 121 tys. euro (ok. 542 tys. zł). Daleko mu jednak do rekordzisty. W 2010 r. przejeżdżający przez Finlandię swoim

ferrari Szwajcar przekroczył dozwoloną prędkość o 67 km/godz., za co zapłacił 299 tys. franków (1,382 mln zł).

Konsekwencje jazdy na podwójnym gazie są w Finlandii równie poważne. Jeśli kierowca ma we krwi powyżej 0,5 promila alkoholu, ale nie przekroczył 1,2 promila, grozi mu grzywna w wysokości uzależnionej od zarobków, pozbawienie wolności do sześciu miesięcy oraz zakaz prowadzenia pojazdów na pół roku. Prowadzenie pojazdu z więcej niż 1,2 promila alkoholu we krwi zagrożone jest grzywną uzależnioną od zarobków kierowcy, karą pozbawienia wolności do dwóch lat i zakazem prowadzenia pojazdów na okres do roku. Odpowiedzialność karną ponosi również właściciel samochodu, który udostępnił swój pojazd pijanemu kierowcy. Podlega on karze grzywny, a nawet więzienia do jednego roku.

Tymczasem w Polsce rozmawiamy o akcji „Znicz” i podobnych przedsięwzięciach, najwyższy mandat wynosi 5 tys. zł i dopiero w przypadku zbiegu wykroczeń

kwota wzrasta. Dotychczasowy polski rekordzista nabił 37 tys. zł za ucieczkę i prowadzenie pod wpływem narkotyków.

– Propagowane w mediach akcje na temat bezpiecznej jazdy nic nie dają. Nie widać ani efektów społecznych, ani statystycznych. To wyrzucanie pieniędzy w błoto, a można by zainwestować je tam, gdzie uczy się młodych kierowców prowadzenia pojazdów. Nie mamy nawet spójnego podręcznika dla instruktorów nauki jazdy. Oni zaś to najczęściej ludzie, którym nie wyszło w innym zawodzie. Bez fachowego przygotowania, a także wiedzy pedagogicznej. Nie ma dziś w kształceniu kierowców budowania świadomości, jak niebezpiecznym narzędziem jest samochód. Tego, że posługujemy się bronią. To są elementy, które należy natychmiast wprowadzić w pojmowanie sytuacji drogowych. Na razie jednak spowija je zasłona milczenia – podsumowuje gorzko dr Wojciech Korhut.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeгляд.pl

XVII KONGRES KOBIET

6-7.09.2025

MIĘDZYNARODOWE
CENTRUM
KONGRESOWE
W KATOWICACH



ZAPRASZAMY

wstęp bezpłatny

rejestracja na www.kongreskobiet.pl

ZAREJESTRUJ SWÓJ UDZIAŁ!

ORGANIZATOR



WSPÓŁGOSPODARZ WYDARZENIA



PATRONAT HONOROWY



Honorowy patronat Marszałka Województwa Śląskiego Wojciecha Salugi



PARTNER INSTYTUCJONALNY



PARTNER INSTYTUCJONALNY WYDARZENIA



PARTNER GŁÓWNY KONGRESU:



PARTNER



PARTNERZY WSPIERAJĄCY




Czarny dzień polskiej dyplomacji

Nawrocki chciał uczyć Trumpa. Nie wyszło



18 sierpnia w Gabiniecie Ovalnym Donald Trump spotkał się m.in. z Ursulą von der Leyen, Friedrichem Merzem, Emmanuelem Macronem i Alexandrem Stubbem.

Robert Walenciak

Jest gorzej, niż się wydaje. Wojna o polską politykę zagraniczną, którą rozpoczęła ekipa Karola Nawrockiego, źle wygląda. I dla Polski, i dla Nawrockiego. Taki jest efekt braku kompetencji i wyobraźni.

Wszyscy to widzieli. 18 sierpnia miało miejsce spotkanie w Białym Domu. Prezydent Donald Trump, po rozmowach na Alasce z Władimirem Putinem, zaprosił prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo i przywódców państw europejskich: prezydenta Francji Emmanuela Macrona, premiera Wielkiej Brytanii Keira Starmera, kanclerza Niemiec Friedricha Merza, premier Włoch Giorgię Meloni, prezydenta Finlandii Alexandra Stubbę, przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen oraz sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego. Przedstawiciela Polski w tym gronie nie było.

Dlaczego Polska została pominięta, choć zawsze uczestniczyła w spotkaniach dotyczących Ukrainy? Jeśli chodzi o pomoc Ukrainie, jesteśmy

państwem kluczowym – głównym sąsiadem, lwia część dostaw idzie przez Polskę, w naszym kraju mieszka największa grupa Ukraińców, niebagatelna była nasza pomoc militarna.

Jeszcze przed spotkaniem w Waszyngtonie i przed spotkaniem Trump-Putin odbyły się trzy wideokonferencje z udziałem przywódców państw europejskich. W środę 13 sierpnia mieliśmy najpierw spotkanie liderów państw europejskich, tzw. koalicji chętnych. Debatowano nad pomocą dla Ukrainy, Polskę w tym spotkaniu reprezentował premier Donald Tusk. W kolejnej wideorozmowie liderzy europejscy połączyli się z prezydentem Trumpem. Już bez Tuska – przy stole konferencyjnym zasiadał Karol Nawrocki. Co było zaskoczeniem, zwłaszcza że dzień wcześniej, we wtorek, rzecznik rządu Adam Szłapka informował, że w tym spotkaniu weźmie udział premier. W trzeciej rozmowie, już w gronie Europejczyków, znów do stołu zaproszony został Tusk.

Po tych rozmowach kancelarie prezydenta i premiera wydały osobne komunikaty. Kancelaria Premiera

poinformowała o rozmowach Tuska, nie wspominając o Nawrockim. Kancelaria Prezydenta – o rozmowach Nawrockiego, nie wymieniając Tuska.

Oto chaos po polsku, z zaskakującymi zwrotami. Najpierw rzecznik rządu mówił, że na spotkaniu z Trumpem będzie Tusk, dzień później okazało się, że jest inaczej. Jak wyjaśnił później premier, rzecz rozstrzygnięta się w ostatniej chwili, we wtorek przed północą przyszła do Warszawy wiadomość, że strona amerykańska wołałaby, aby w rozmowie z Trumpem brał udział Nawrocki.

Jak do tego doszło? W czwartek, 14 sierpnia, w TVN 24 opowiadał o tym szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki. „My wcześniej wiedzieliśmy, że uczestnikiem tego spotkania będzie prezydent Rzeczypospolitej”, chwalił się. Wcześniej, czyli już we wtorek, 12 sierpnia. A dlaczego nie poinformował o tym Kancelarii Premiera? „Jeżeli ktoś nie utrzymuje kanałów w ramach normalnego funkcjonowania, a nie utrzymywał ich do dzisiaj Donald Tusk, to on może sobie, że tak powiem, pluć w brodę”, odpowiedział Bogucki.

Tego samego dnia „Gazeta Wyborcza” podała, że to kancelaria polskiego prezydenta zabiegała, by w rozmowie z Trumpem Polskę reprezentował Nawrocki, a nie Tusk. „Nie ma ani czego dementować, ani czego potwierdzać”, skomentował te doniesienia Bogucki, dodając: „Z drugiej strony było wyraźne wskazanie strony amerykańskiej, że partnerem po stronie polskiej ma być prezydent Rzeczypospolitej. Amerykanie w prezydencie Nawrockim widzą partnera do najważniejszych rozmów”. I wszystko jasne.

Przebieg wydarzeń jest zatem dość oczywisty. Kancelaria Prezydenta włączyła się do gry, widząc przygotowania do rozmów Trump-Europa. Działano kanałami partyjnymi, bo przy zastosowaniu kanałów oficjalnych, via polska ambasada w Waszyngtonie, rząd by o tym wiedział.

Ze PiS zbudowało sobie kanały dostępu do administracji amerykańskiej poprzez kanały partyjne, wiemy od dawna. Wykorzystał je Andrzej Duda, wykorzystano je w kampanii prezydenckiej, gdy Nawrocki pojechał do Waszyngtonu. Czasami politycy Partii Republikańskiej komentowali sytuację w Polsce, klepiąc pisowski przekaz dnia. Widać było, skąd czerpią wiedzę.

Namawianie Amerykanów, by to Nawrocki wystąpił na wideokonferencji w roli przedstawiciela Polski, nie trwało długo. Ameryka pokazała siłę – wybrała sobie Polaka, z którym będzie rozmawiać. Czy był to osobisty wybór Trumpa, czy kogoś ważnego z jego otoczenia? Nie wiemy, choć Trump uważa Nawrockiego za swojego człowieka w Warszawie i ma awersję do polskiego premiera.

Zbigniew Bogucki miał zatem swoje pięć minut, by wołać, że Donald Tusk może sobie pluć w brodę. Ale nie przysłoniło to faktu, że Polskę potraktowano lekceważąco. Wybór Nawrockiego pokazał, że można sobie wybrać przedstawiciela Polski do rozmowy, że są dwa ośrodki prowadzące politykę zagraniczną, które nie komunikują się ze sobą. I że Polska jest nieważna. Przecież każdy wie, że uczestniczący w wideokonferencji Karol Nawrocki nie ma wpływu na działania Polski – ani na dyplomację,

ani na politykę obronną czy gospodarczą. Był w tym gronie widzem.

Najgorsze przyszło później. Po szczycie na Alasce, gdy Donald Trump zapraszał europejskich przywódców do Białego Domu, by zreferować im sytuację, pominął przedstawiciela Polski. O czym to świadczy?

Pytany o to w mediach prof. Jacek Czaputowicz, były szef MSZ w czasach PiS, odpowiedział zadziwiająco szczerze: „Nie było nas tam, bo nikt tam nas nie chciał. Polska nie wykazała, aby obecność jej przedstawiciela w Białym Domu podczas spotkania z europejskimi liderami i prezydentami USA oraz Ukrainy była konieczna”. I dodał: „To pokazuje, że nie jesteśmy tak ważni. Coś musiało się wydarzyć

Nawrocki musi się nauczyć dyplomacji, jeśli chce być w świecie traktowany z powagą.

na telekonferencji, że Trump nie zaprosił Nawrockiego. Mam wrażenie, że wypowiedzi polskiego prezydenta mogły się nie spodobać Trumpowi”.

O jakie wypowiedzi mogło chodzić? W czasie wideokonferencji Nawrocki, poproszony o opinię, mówił Trumpowi o Bitwie Warszawskiej, a także zachęcał go, by „ostro rozmawiał z Putinem”. Trudno uznać, by taki przekaz zainteresował amerykańskiego prezydenta.

„To był okropny falstart, który może rzutować na całej prezydenturze Karola Nawrockiego – komentował Czaputowicz. – On nie miał doświadczenia dyplomatycznego, nie wie, co może powiedzieć. Nie może mówić tego, co w kraju”. Zdaniem Czaputowicza kłopot stanowi również to, że „w otoczeniu prezydenta także nie ma żadnych dyplomatów”. Bo, jak podkreślił, prezydenckiego ministra Marcina Przydacza „tak nie traktuje”.

To interesujące, w czasach gdy Czaputowicz kierował MSZ, Przydacz był jednym z wiceministrów i jego podwładnym. Czaputowicz miał wiele okazji, by poznać jego kompetencje – czy raczej ich brak. Dodajmy, że Przydacz jest z wykształcenia prawnikiem, z zawodu

adwokatem, pisał analizy dla Klubu Jagiellońskiego. W 2015 r. został wicedyrektorem Departamentu Polityki Zagranicznej w kancelarii prezydenta Andrzeja Dudy. Stamtąd przeszedł w 2019 r. do MSZ na stanowisko wiceministra. Teraz jest dyrektorem Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta. Sprawy zagraniczne oglądał więc z lotu ptaka. Ich mechanizmów i zasad panujących w dyplomacji nie zna. Trudno się spodziewać, by z takimi deficytami wiedzy i doświadczenia mógł wspomagać prezydenta w rozmowach dyplomatycznych. To kłopot, bo Nawrocki musi się nauczyć dyplomacji, jeśli chce być w świecie traktowany z powagą. Czy się nauczy?

„Nie wiem, czy on ma tę predyspozycję – zastanawiał się Jacek Czaputowicz. – Ten falstart będzie miał ogromne konsekwencje. To straszny sygnał jego słabości i pozycji państwa. Jestem tym bardzo zawiedziony i uważam, że to ma bardzo negatywne konsekwencje dla Polski. To czarny dzień dla dyplomacji naszego kraju”. Czarny, ponieważ Amerykanie najpierw przetestowali Polskę na okoliczność wyboru rozmówcy. A potem wybrali wariant numer trzy, czyli zupełnie Polskę zlekceważyli. ▶

Z wielkim bólem
przyjęliśmy wiadomość
o tragicznej śmierci

MAŁGORZATY

**Mężowi
Zdzisławowi Rapackiemu
oraz całej Rodzinie**

składamy wyrazy najgłębszego
współczucia

*Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy
Elżbieta i Andrzej Majkowscy
Beata i Ireneusz Bilowie*

► Czy tak musiało być? Oczywiście, że nie. Co więcej, mamy wypracowaną praktykę współdziałania w trójkącie prezydent-premier-szef MSZ, realizowaną także za poprzednich kohabitacji. Istniała zasada jednej polityki zagranicznej. Prowadzonej przez rząd, poprzez szefa MSZ. Gdy prezydent udawał się z wizytą graniczną, był wpieryw przez MSZ briefowany. Odpowiednich informacji udzielał mu albo wiceminister, albo dyrektor departamentu. We wszystkich wizytach zagranicznych prezydentowi towarzyszyli wiceminister i szef protokołu dyplomatycznego, nawet gdy program nie przewidywał międzynarodowych rozmów. Warto pamiętać, że na pokładzie Tu-154M, który rozbił się pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r., znajdowali się wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Kremer i szef protokołu dyplomatycznego Mariusz Kazana. Lecieli z Lechem Kaczyńskim.

Współdziałanie Kancelarii Prezydenta z MSZ było oczywiste – to MSZ, a nie parooosobowe biuro w Kancelarii Prezydenta, dysponuje

placówkami, korpusem dyplomatycznym i wszystkimi możliwościami, by organizować wizyty prezydenta. A ten powinien umieć z tych narzędzi korzystać.

„Staramy się informować na bieżąco Kancelarię Prezydenta, co się dzieje, otrzymujemy natomiast zwrótnie bardzo skromne informacje. Łącznie z podstawową: czy pan prezydent leci, czy nie leci”, mówił rzecznik MSZ Paweł Wroński, gdy okazało się, że Nawrocki jednak nie poleciał 18 sierpnia do Waszyngtonu.

Symptomatyczne, że jeszcze w lipcu, gdy MSZ organizowało doroczną radę ambasadorów, minister Sikorski zapraszał prezydenta elekta na spotkanie, by poznać wiceministrów i szefów placówek. Nawrocki z tego zaproszenia nie skorzystał. Podobnie się dzieje w przypadku wideokonferencji czy spotkań w Warszawie z przedstawicielami innych państw. Jeśli takie rozmowy dotyczą spraw z najwyższej półki, powinien być obecny wiceminister spraw zagranicznych albo dyrektor departamentu. Nie byłoby wtedy zagrożenia

rozgrywaniem Polski – wybierania sobie „tych lepszych” Polaków – czy nieporozumień związanych z brakiem komunikacji. Tymczasem szef Kancelarii Prezydenta chwali się, że coś załatwił kanałami partyjnymi z administracją Trumpa, a rząd o tym nie wiedział.

Te zachowania świadczą o tym, że Nawrocki i jego ekipa zamierzają z polityki zagranicznej uczynić kolejne pole bitwy z rządem. Konsekwencje ich nie interesują, a niewiedza zachęca do niemądrych działań.

Warto posłuchać, co mówią ludzie z Kancelarii Prezydenta przed jego wizytą w Waszyngtonie, zaplanowaną na 3 września. W kampanii wyborczej Nawrocki w Końskich zapowiadał: „Gdy zostanę prezydentem państwa polskiego, najpierw odwiedzę oczywiście Waszyngton, żeby poukładać nasze relacje międzynarodowe i wykonać to, czego nie wykonuje rząd Donalda Tuska”. Pytanie, co zamierza zrobić poza zameldowaniem wykonania zadania.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

LIST

 Dudozaraza

Prof. Jan Widacki, jeden z moich bohaterów wolnej Polski, bohaterów bez cudzoślowu, a może i wielką literą, popelniał felieton o byłym prezydencie Andrzeju Dudzie („Przegląd” nr 33). Tu okazało się jednak, że wraz ze zmianą klimatu, geopolityki, społeczeństwa zmieniają się także bohaterowie. Profesor uznał bowiem w dużym krocie, że dotknięcie czegokolwiek, czego dotyczył prezydent Duda, skutkuje poważnym schorzeniem. Tu był łaskaw jako przykład podać przypadek prof. Jacka Majchrowskiego, który przyjął z rąk prezydenta Dudy Złotą Błachę Czegoś Tam Czegoś Tam. Ponure konsekwencje tego kroku są takie, że pomnik, który prof. W. chciał wystawić prof. M. w prestiżowym miejscu Krakowa, „po tym ostatnim wydarzeniu to chyba należy się trochę mniejszy i w jakiejś bocznej ulicy”.

Jeśli wszystko ma się zmniejszać po dotknięciu tego, czego dotyczył były prezydent, to z obawy o własne członki włożę zaraz lateksowe rękawiczki i założę maskę.

Owszem, Andrzej Sebastian D. w klasyfikacji wszech czasów na najgorszego prezydenta zajmuje zastąpienie pierwsze miejsce. (Choć dolary przeciwko orzechom, że za chwilę koszulkę lidera straci). Więc tak, nawet w lateksie bym od Andrzeja Sebastiana D. nic nie przyjął. Ale też myślę, że jestem w pierwszej setce tych, którzy na nim psy wieszali, i to ja czułym się niekomfortowo. Choć z drugiej strony pamiętam, gdy miał wręczyć mi jakieś pozłotko prezydent Komorowski w 2011 r.,



kancelaria uctwiwie mnie uprzedziła, że do pozłotka wystawił mnie jeszcze prezydent Lech Kaczyński. Odpowiedziałem, że w obu wypadkach to dla mnie honor z racji urzędu.

Ale prezydent prof. Majchrowski, choć pełen jest dystansu wobec Dudy i PiS, nigdy w połajanki nie wchodził, mało tego – współpracował często z wymienionymi dla dobra Krakowa. Czemu więc miałby ulec zadziwieniu partyjnemu na emeryturze? Przecież on tylko odebrał medal przyznany przez urząd, który ma bodaj najmocniejszą legitymację w Polsce. Mało tego – odebrał order wtedy, gdy nikt nie może powiedzieć, że którakolwiek strona chce sobie coś załatwić.

Pisze prof. Widacki: „Największą pretensją do Andrzeja Dudy mam o to, że nie pozwolił mi na szacunek dla głowy państwa”. Profesor po drugiej linii zawodowej jest papugą i jako taki kocha bon moty doskonale brzmiące w mowie końcowej obrońcy.

Ja jestem prosty pismak i oprócz bon motów lubię iść pod prąd, nawet gdy za chwilę hejtem obleją mnie koledzy. I zapytam: a dlaczego mielibyśmy parszywieć tylko od dotknięcia ASD? Powiedzmy całą prawdę: dotknięcie rąk wyborców połowy + 1 prowadzi demokratów do sparszywienia. Więc może od razu wymienić naród na inny, czytający wyłącznie z zachwytem „Rozważania o prawie i sprawiedliwości” pióra Jana Widackiego (Kraków 2007)?

Witold Beres

Wyprzedziliśmy Grecję

CPK, elektrownia atomowa i kładka pieszo-rowerowa...
Inwestować to my nie umiemy

„Plan Rozwoju Elektromobilności” zaczął się od tego, że premier Morawiecki zapowiedział „milion samochodów elektrycznych”. I na tym się skończył. Poznań, 28 kwietnia 2017 r.



Marek Czarkowski

Inwestycje – magiczne słowo, które politycy odmieniają przez wszystkie przypadki, wierząc, że zapewnią sobie sukces wyborczy i miejsce w historii. Mamy więc inwestycje: publiczne, prywatne, unijne, zagraniczne, samorządowe, w naukę, kapitał ludzki, rozwój i innowacje itd.

Od co najmniej dekady wiadomo, że poziom inwestycji w Polsce, zarówno prywatnych, jak i państwowych, należy do najniższych w Unii Europejskiej i w ostatnich latach oscyluje w przedziale 15-17% PKB, przy średniej unijnej sięgającej 22%. W rankingach wyprzedzamy tylko Grecję, której farmerzy są gotowi uprawiać banany na Olimpie.

Nic dziwnego, że niektórzy nasi politycy chcą coś z tym zrobić. W lutym 2017 r. ówczesny wicepremier Mateusz Morawiecki ogłosił

najkosztowniejszy w historii Polski program inwestycyjny, przewidujący mobilizację środków porównywalnych z całym rocznym PKB kraju na cele rozwojowe – nazwał go „Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju”. Szybko ochrzczono ją „planem Morawieckiego”.

„Wielki sternik” polskiej gospodarki założył, że realizacja programu będzie oznaczała wydatek rządu 2,1 bln zł! Z czego sektor prywatny miał przeznaczyć na inwestycje ok. 600 mld zł, a ze środków publicznych planowano wydać 1,5 bln zł. Były to pieniądze budżetowe, pozyskane środki unijne, pieniądze samorządów oraz państwowych funduszy celowych (takich jak Fundusz Pracy i Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych) i agencji wykonawczych. Rząd Prawa i Sprawiedliwości sądził, że w ten sposób zapewni krajowi trwałą wzrost gospodarczy oparty na wiedzy, danych i doskonałości

organizacyjnej. Przyjęto, że poziom inwestycji w relacji do PKB wzrośnie z 20,1% w roku 2015 do 22-25% w roku 2020.

W ramach strategii Morawiecki ogłosił 12 flagowych projektów, które miały się cieszyć szczególnymi względami rządzących. Były to m.in.:

- „Batory” – zakładał budowę promów pasażersko-samochodowych dla polskich armatorów. Skończyło się na ostawionej „stępcy Morawieckiego”, która od 2017 r. rdzewiała na pochylni w Stoczni Szczecińskiej Vulkan.

- „Żwirko i Wigura” – głównym założeniem projektu było zbudowanie bezpiecznej infrastruktury dla lotów bezałogowców oraz stworzenie warunków do rozwoju usług związanych z wykorzystywaniem zbieranych przez nie informacji. Zdaniem kontrolerów NIK projekt ten nie był realizowany zgodnie z wymaganym w strategii podejściem, a jego

► cele znacząco odbiegły od przyjętych wcześniej założeń.

- „Luxtorpeda 2.0” – celem projektu było stymulowanie rozwoju technologii i produkcji polskich pojazdów szynowych, ze szczególnym uwzględnieniem pojazdów transportu pasażerskiego. „Polskie Pendolino” nie powstało, a projekt w czerwcu 2018 r. po cichu włączono do programu budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. I zapomniano o nim.

- „Plan Rozwoju Elektromobilności” (e-bus, samochód elektryczny) – zaczął się od tego, że premier Morawiecki zapowiedział „1 mln samochodów elektrycznych”. I na tym się skończył.

- „Centrum Rozwoju Biotechnologii” – była to ambitna próba zbudowania pozycji Polski jako europejskiego ośrodka zaawansowanych zamienników leków i leków biopodobnych. Skończyło się na wygórowanych ambicjach.

- „Cyberpark Enigma” – projekt zakładał powstanie ośrodka pozwalającego konkurować z podobnymi na europejskim rynku specjalistycznych usług IT oraz wypracować rozwiązania wspierające rozwój polskiego potencjału tego sektora. W planie była też realizacja projektu o nazwie „CyberMikro”, zakładającego odbudowę polskiego przemysłu mikroelektronicznego. Nic z tych planów nie wyszło.

- „Telemedycyna” – w tej materii co nieco zrobiono. Wdrożono np. szeroko e-recepty i e-skierowania, wprowadzono Internetowe Konto Pacjenta oraz wykonano aplikację mobilną mojejKP. Kosztowało to łącznie ok. 290 mln zł. Dobre i tyle.

W ramach „Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju” zapisano też ponad 200 projektów strategicznych, o których nikt dziś nie pamięta. Tak w Polsce realizujemy wielkie projekty infrastrukturalne.

Obecnie sytuacja jest gorsza niż w roku 2020. Zamiast planowanych na rok 2025 przez premiera Morawieckiego wydatków inwestycyjnych na poziomie 22-25% mieliśmy w 2024 r. 16,9% PKB według NIK, a według GUS – 17,4%.

I nie ma w tym nic zaskakującego. Mimo wysiłków od 10 lat poziom

inwestycji w relacji do PKB systematycznie w Polsce spada. A to, co powstaje, co się buduje, często budzi poważne wątpliwości.

Autostrady i drogi, stadiony i Olefiny

Polska w 2000 r. dysponowała 400-410 km autostrad i 110-160 km dróg ekspresowych. W 2025 r. mamy 2100 km autostrad i aż 5880 km dróg ekspresowych! I są to najnowocześniejsze trasy w Europie Środkowo-Wschodniej. Ten niebywały postęp wynikał m.in. z właściwego wykorzystania środków unijnych. Przy czym nie obyło się bez kontrowersji. Okazało się, że budowa kilometra autostrady nad Wisłą kosztuje ok. 9,6 mln euro, a w sąsiednich Niemczech – 8,2 mln. W Czechach to wydatek rządu 8,9 mln euro, w Bułgarii zaś budują autostrady w cenie... 2 mln euro za kilometr.

Drożej niż w Polsce jest w Austrii (12,9 mln euro), na Węgrzech (11,9 mln euro), lecz absolutny czempionat należy do Holandii. W kraju tulipanów, polderów i wiatraków budowa kilometra autostrady kosztuje 50 mln euro!

W tym roku planowane jest oddanie do użytku 400 km autostrad i dróg ekspresowych. W kolejnych latach będzie to od 300 do 420 km. Z inwestycjami drogowymi nie jest więc źle.

O wiele gorzej jest z innymi przedsięwzięciami. Budowa przez rząd PiS słynnej elektrowni w Ostrołęce pochłonęła według różnych szacunków od 1,5 mld do 2 mld zł i zakończyła się spektakularną klęską. Za równie wielką porażkę uchodzi przekop Mierzei Wiślanej, który kosztował podatników 1,198 mld zł i w ocenie Najwyższej Izby Kontroli „już na etapie planowania nie miał szans na pełne osiągnięcie w zaplanowanym czasie głównego celu”, a „jego wartość znacznie przekroczyła granice opłacalności”. Dziś przekopem zajmuje się prokuratura.

Zdrowy śmiech wzbudziła informacja o koszcie budowy otwartej roku temu w Warszawie kładki pieszo-rowerowej nad Wisłą. Miasto zapłaciło za nią ok. 154 mln zł. Dla porównania – koszt budowy mostu na Narwi

między miejscowościami Nowe Łachy i Nowy Lubiel na Mazowszu oszacowano na 45 mln zł. 100 mln zł różnicy to dużo.

Czempionem pod względem planowanych kosztów jest budowa pierwszej (a właściwiej drugiej, bo wcześniej był Żarnowiec) polskiej elektrowni atomowej Lubiawo-Kopalino. Ma to być wydatek rządu 192 mld zł (choć nie brakuje głosów, że będzie to kwota znacznie wyższa), z czego wydano już 2,7 mld na prace przygotowawcze.

Planowana przez rząd Prawa i Sprawiedliwości budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego Baranów nad rzeką Pisią Tuczną miała kosztować do roku 2032 131,7 mld zł.

Budowa stadionów na Euro 2012 kosztowała nas ok. 5 mld zł, z czego sam Stadion Narodowy w Warszawie pochłonął 1,915 mld zł.

Nie oszczędzały też wielkie koncerny z sektora prywatnego. Koreańczycy z LG Chem zbudowali w Biskupicach Podgórnych pod Wrocławiem wielką fabrykę baterii do samochodów elektrycznych. Początkowo zainwestowali 1,3 mld zł, potem rozbudowali fabrykę, wydając dodatkowe 4,7 mld. Za to dzisiaj zatrudnia ona ponad 7 tys. pracowników i produkuje rocznie ponad 100 tys. baterii.

Supernowoczesna fabryka miała powstać również w Miękinii pod Wrocławiem. Rząd premiera Morawieckiego wynegocjował bowiem umowę z koncernem Intel. Wartość inwestycji szacowano w przedziale 18,4-20 mld zł, z czego pomoc państwa, zaakceptowana przez Komisję Europejską, powinna wynieść 7,4 mld zł. Nic z tego nie będzie, bo Intel się wycofał.

W bieżącym roku Microsoft ogłosił, że gotów jest zainwestować w Polsce 2,8 mld zł w rozwój centrów danych, technologii chmurowych i sztucznej inteligencji. Także Google wyraził zainteresowanie inwestycjami nad Wisłą, chociaż na razie konkretny brak. Poczekamy, zobaczymy...

Potężnie natomiast szarpnął się PKN Orlen, rozpoczynając budowę kompleksu Olefiny III. W 2018 r. przewidywano, że inwestycja będzie kosztowała 8,3 mld zł. W ubiegłym roku oficjalnie mówiono o 25 mld zł.

Pesymistyczne szacunki obecnego zarządu wskazują, że Olefiny III mogą kosztować nawet 51 mld zł! Pierwotnie planowano uruchomienie produkcji na początek 2025 r. Następnie, ze względu na opóźnienia, padła data 2027 r. Ostatnio używa się formuły: „Nie wcześniej niż w roku 2030”. Dane te naprawdę mogą przyprawić o zawrót głowy.

Premier Tusk, nie chcąc być gorszy od poprzednika, w lutym br. ogłosił program „Polska. Rok przełomu”. Ma to być kompleksowy plan gospodarczy, oparty rzecz jasna na „rekordowych inwestycjach”. Życzliwi komentatorzy stwierdzili, że premier nawiązuje do 1000. rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego!

Tylko w tym roku nakłady inwestycyjne mają sięgnąć 650-700 mld zł. Do roku 2032 jedynie na kolej chcemy wydać 180 mld zł. A jeszcze są elektrownia atomowa, Centralny Port Komunikacyjny, terminal kontenerowy w Świnoujściu, morskie farmy wiatrowe na Bałtyku i sukcesywne zwiększanie nakładów na badania i rozwój w ujęciu nominalnym i jako procent PKB.

Wydawać by się mogło, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Gdyby ten plan się powiódł, nakłady na inwestycje wzrosłyby w Polsce do 20-21% PKB i zbliżyły się do średniej unijnej. Tylko i tak byłoby to mało w stosunku do osiągnięć z czasów słusznie minionych.

Jak budowaliśmy „Drugą Polskę”

W 1975 r. inwestycje w Polsce Ludowej osiągnęły najwyższy w całej historii PRL pułap – stopa akumulacji w cenach stałych sięgnęła 38,1% PKB. To ponad dwa razy więcej niż dziś! Okazuje się, że ówczesne hasło budowy „Drugiej Polski” traktowano z całą powagą.

W tym czasie wybudowano elektrownie: Kozienice, Dolna Odra, Rybnik i Połaniec. W 1970 r. uruchomiono elektrownię wodną Włocławek, rok później oddano do użytku elektrownię szczytowo-pompową w Żydowie, a w 1979 r. – Elektrownię Porąbka-Zar. Nigdy później nie było takiego bumu inwestycyjnego w polskiej energetyce.

O Hucie Katowice i Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Tychach nie wspomnę. W latach 1970-1979 oddano natomiast do użytku 2,46 mln mieszkań. Średnio Polacy odbierali klucze do 234-246 tys. lokali rocznie. W rekordowym 1978 r. do użytku oddano ich 284 tys.! Wtedy uważano, że to za mało.

Obecnie buduje się rocznie 120-145 tys. nowych mieszkań i nie ma najmniejszych szans na to, by zbliżyć się do wyników sprzed czterdziestu kilku lat.

Na początku dekady gierkowskiej zadłużenie zagraniczne PRL wynosiło 1 mld dol., a na koniec 1980 r. było to 26 mld. W 1981 r. rząd ogłosił niewypłacalność, co w konsekwencji pogłębiło kryzys gospodarczy, z którego

Poziom inwestycji w Polsce należy do najniższych w UE – to 15-17% PKB, przy średniej unijnej 22%. W rankingach wyprzedzamy tylko Grecję.

kraj nie wygrzebał się do końca lat 90. Polska w tym czasie została też objęta sankcjami i odcięta od możliwości zaciągania nowych kredytów.

Teraz, mimo że według danych Narodowego Banku Polskiego zadłużenie zagraniczne brutto wynosiło ok. 492,5 mld dol. na koniec I kwartału 2025 r. (to niemal 19 razy więcej niż w roku 1980), nie mamy problemów. Jesteśmy częścią Unii Europejskiej i nie grożą nam żadne sankcje.

Warto przy tej okazji podkreślić, że w latach 90. najbardziej łakomymi kąskami, które prywatyzowano, były zakłady wybudowane za czasów Edwarda Gierka.

O tym, że coś jest nie tak z inwestycjami w Polsce, wiedzą wszyscy, nawet Komisja Europejska. Od przystąpienia do Unii Europejskiej w 2004 r. do końca marca 2024 r. Polska otrzymała z jej budżetu ponad 249 mld euro. Przez lata nikt głośno w Brukseli nie pytał, co robimy z pieniędzmi z dotacji, a te płynęły szerokim strumieniem. Nasi urzędnicy zajmowali się ich „alokacją”, czyli ordynarnym wydawaniem, i pilnowali, by w papierach panował idealny porządek.

Pół biedy, gdy budowano autostrady i trasy szybkiego ruchu. Gorzej, gdy pieniądze wydawano na aquaparki z basenami i tzw. krzemowe doliny w prawie każdym powiecie.

Przy czym Bruksela nie chciała nic słyszeć o problemach. Raz się zdarzyło, że odpowiedzialny za raportowanie o nieprawidłowościach przy wydawaniu funduszy unijnych wiceminister finansów Andrzej Parafianowicz okazał się zbyt szczerzy i w swoich oświadczeniach przesłanych do Komisji zdradził zbyt wiele. Bruksela natychmiast wstrzymała wysyłkę kilku miliardów złotych dotacji – do wyjaśnienia. Wybuchł skandal. Spieniony premier Donald Tusk wysłał na rozmowy z KE m.in. minister

Elżbietę Bieńkowską, która załatwiła sprawę i wszystko wróciło do normy.

Później w jednym z raportów Najwyższa Izba Kontroli wskazała, że system raportowania nieprawidłowości związanych z funduszami unijnymi (za który w resorcie finansów odpowiada Parafianowicz) był zbyt rozbudowany i niezgodny z unijnymi standardami, co prowadziło do nadmiarowego zgłaszania ich Komisji Europejskiej. A to z kolei mogło wpływać na wizerunek Polski w Brukseli i skutkować twardszym traktowaniem przy kontroli rozliczeń środków wspólnotowych. Prawo i Sprawiedliwość tego błędu nie popełniło. Dziś w resorcie finansów nikt już nie zajmuje się „nieprawidłowościami”.

A co do inwestycji, Komisja Europejska coraz częściej zwraca uwagę na to, czy wydawane przez beneficjentów dotacje przynoszą oczekiwane efekty, a nie czy w dokumentach wszystko się zgadza. I być może to nie jest dobra wiadomość dla tych, którzy w Polsce żyją z inwestycji finansowanych przez Brukselę.

Marek Czarkowski

Klakierzy Nawrockiego

Doradcy prezydenta RP to zbiór kolegów, koleżanek i pochlebców



Andrzej Sikorski

„Dziękuję za to, że jesteście Państwo ze mną i że przyjęliście moje zaproszenie do ciężkiej pracy przez najbliższe pięć lat. Choć formuła doradców etatowych i społecznych jest nieco inna niż formuła pracy administracyjnej, ale przy Państwa głębokiej wiedzy, doświadczeniu i życiorysach wiem, że wspólnie będziemy mogli osiągnąć dla naszej ojczyzny wiele”, mówił Karol Nawrocki podczas wręczenia nominacji 21 doradcom.

Wydawać by się mogło, że zaplecze intelektualne głowy państwa składać się będzie z osób wykształconych, propaństwowych, z bogatym doświadczeniem, nie tylko wybitnych w swoich dziedzinach, ale przede wszystkim wolnych od politycznego i ideologicznego zacietrzewienia. Zamiast tego mamy zbiór przypadkowych osób, kolegów i koleżanek

Nawrockiego, klakierów i nominatów partyjnych.

Intelektualiści

Prof. Andrzej Nowak, znawca historii stosunków polsko-rosyjskich, uchodzi za jednego z czołowych ideologów PiS. Uczony zwalcza liberalizm, lewactwo, wszelkie odchylenia od tzw. tradycyjnych wartości i Unię Europejską, której brukselski establishment – jak mówił – „toczy brutalną walkę z Polską i jej niepodległością”. Nowak nienawidzi też Platformy Obywatelskiej. Partia ta doprowadziła Polskę do upadku cywilizacyjnego, a Donald Tusk i Radosław Sikorski „prowadzili zbrodniczą działalność, upodlili się, podlizując polityce Putina”.

Nowak z Nawrockim znają się od wielu lat. To Nowak w listopadzie

2024 r. podczas zorganizowanego przez PiS tzw. kongresu obywatelskiego ogłosił, że Nawrocki będzie się ubiegał o najważniejszy urząd w państwie. Nowak został również przewodniczącym komitetu poparcia Karola Nawrockiego. Profesor słynie z oryginalnych twierdzeń. Gdy cała Polska emocjonowała się nieprawidłowościami w komisjach wyborczych, Nowak straszył, że „to, z czym mamy teraz do czynienia, to atmosfera pogromowa, która doprowadziła do zabójstwa prezydenta Narutowicza”, a „jedynym sposobem unieważnienia tych wyborów, przepraszam za dosadność, jest zamach na osobę elekta”.

Niektóre wywody Nowaka są zabawne. W marcu br. w podwarszawskich Szeligach podczas konwencji programowej Nawrockiego profesor

Och, Karol... Prezydent w wianusku nowo powołanych doradców. Od lewej: Dariusz Dudek, Jarosław Bujak, Piotr Głowacki, Jan Józef Kasprzyk, Beata Kempa, Alvin Gajadhur, Radosław Gruk oraz Andrzej Nowak. Warszawa, 8 sierpnia 2025 r.

grzmiał, że „od czasów Gomułki tej skali kłamstwa, manipulacji nie było do czasów Donalda Tuska nigdy”.

Dwa miesiące później zmienił już nieco perspektywę, mówiąc, że „od czasów Stalina, których nie pamiętam, ale poznaję jako historyk, nie było takiego poziomu kłamstwa, tajdactwa, zakłamania, jakie reprezentuje Donald Tusk i jego ekipa”. Nowak straszył, że jeśli wybory prezydenckie wygra „zastępca Tuska”, czyli Trzaskowski, to „grozi nam absolutny autorytaryzm jednego człowieka”.

Piotr Czauderna to chirurg dziecięcy i profesor nauk medycznych związany z Gdańskim Uniwersytem Medycznym i Uniwersyteckim Centrum Klinicznym, gdzie kieruje Kliniką Chirurgii i Urologii Dzieci i Młodzieży. W 2014 r. został radnym i wiceprzewodniczącym Rady Miasta Gdańska (wybrany z listy PiS), a w 2019 r. krótko był prezesem rządowej Agencji Badań Medycznych. Wydawać by się mogło, że pomimo sympatii politycznych Czauderna twardo stąpa po ziemi. Otóż nie. Tydzień przed drugą turą wyborów prezydenckich profesor opublikował absurdalny panegiryk, w którym wychwalał Nawrockiego i rządu PiS.

Zdaniem Czauderny Nawrocki to człowiek „z krwi i kości”, „twardy, doświadczony przez życie, przywódca o silnym charakterze i duszy wojownika, który będzie walczył o polski interes na forum krajowym i międzynarodowym”. Wojownik ten wszystkie swoje osiągnięcia „zawdzięcza ciężkiej pracy” i „niejednokrotnie podejmował w swoim życiu trudne decyzje, choćby takie, aby związać się z panną z dzieckiem”.

Z kolei Rafał Trzaskowski to dla Czauderny mięczak, „którego życie od dzieciństwa ustane było różami i któremu brakuje woli walki, odporności politycznej i jak się okazało w kampanii wyborczej, sam niejednokrotnie wymaga wsparcia psychologicznego”. Sprawa kawalerki, którą Nawrocki wyłudził od chorego człowieka, to „temat zastępczy”, a prawdziwym skandalem była „warszawska afera reprivatyzacyjna, w której poszkodowanych było ok. 50 tys. osób, a szkody wyrządzone spadkobiercom i Skarbowi Państwa wyniosły ponad

90 mln zł”. Tematem zastępczym były też kierowane pod adresem Nawrockiego oskarżenia o udział w kibolskich ustawkach i związki z nazistami i kryminalistami. Nie było żadnej afery Pegasusa, bo, „jak wykazało dochodzenie prowadzone przez obecne Ministerstwo Sprawiedliwości, każdorazowo zastosowanie Pegasusa poprzedzone było decyzją sądu, a decyzje takie wydawał m.in. sędzia Igor Tuleya, znany z braku sympatii do poprzedniej władzy”. Podobnie było z aferą wizową.

W 2020 r. Czauderna udzielił wywiadu portalowi gdańskiej Solidarności. Zapytany o pandemię: „Czy to jest nauczka za grzech pychy, manifestacji pogardy wobec Boga”, odpowiedział: „Jest to nauczka, która wynika z naszego grzechu pychy, z ludzkiego przekonania, że mamy cały świat pod kontrolą, na wszystko możemy sobie pozwolić. Pycha

Prof. Andrzej Nowak, znawca historii stosunków polsko-rosyjskich, uchodzi za jednego z czołowych ideologów PiS.

jest grzechem głównym, korzeniem i początkiem wszystkich innych grzechów”. Gdyby powiedział to nawiedzony polityk, można by machnąć ręką. Ciekawe, czy o nauczce za grzechy profesor nauk medycznych prawi też moralom rodzicom chorych dzieci.

Profesorem jest także konstytucjonalista Dariusz Dudek, związany z Katolickim Uniwersytem Lubelskim. Dudek aktywnie, jako tzw. ekspert, wspierał PiS w zamachu na niezależne sądownictwo. Przygotowywał m.in. ekspertyzy dla Andrzeja Dudy, reprezentował go przed upolitycznionym Trybunałem Konstytucyjnym, brał udział w imprezach organizowanych przez nielegalną Krajową Radę Sądownictwa. Na jednej z nich gościł również Nicolas Bay, bliski współpracownik Marine Le Pen, szefowej Frontu Narodowego/Zjednoczenia Narodowego. Panów łączą poglądy narodowo-katolickie i autorytarne. Dzieli natomiast stosunek do związków partnerskich. Bay jest im przeciwny, Dudek je akceptuje. Być może dlatego, że Dudek to, jak donosił portal Wieści24.pl, były partner

Barbary Kamińskiej, drugiej żony Mariusza Kamińskiego, z którą ma syna.

Prof. Dariusz Dudek kierować będzie prezydenckim zespołem ds. zmiany konstytucji. Nawrocki chce zmienić system polityczny z parlamentarno-gabinetowego na prezydencki. Warto jeszcze wspomnieć, że szacowny profesor zasiada w radzie nadzorczej spółki Lubelskie Dworce (nadzorowanej przez pisowskie władze samorządowe), której prezeską jest była posłanka i europosłanka PiS, Beata Mazurek.

Fachowcy od ekonomii

Profesorskie trio uzupełniają „wybitni” fachowcy. Piotr Głowacki (rocznik 1988) będzie doradcą prezydentowi w sprawach ekonomii i gospodarki, choć trudno cokolwiek powiedzieć o jego kompetencjach. Wiadomo natomiast, że świeżo upieczony doradca magisterkę pt.

„Moralne aspekty funkcjonowania rynków finansowych w świetle katolickiej nauki społecznej” napisał na SGH, a w 2024 r. na Akademii Sztuki Wojennej obronił pracę doktorską z nauk o bezpieczeństwie, poświęconą ekonomicznym aspektom bezpieczeństwa narodowego.

Głowacki to działacz środowisk skrajnie prawicowych. Udzielał się w Ruchu Narodowym i Młodzieży Wszechpolskiej, gdzie był wiceprezesem. Bezskutecznie kandydował w wyborach samorządowych, do Sejmu i Parlamentu Europejskiego. W 2017 r., mając ledwie 29 lat, został dyrektorem Departamentu Audytu Wewnętrzznego w Narodowym Banku Polskim. Na dyrektorskim stołku zastąpił partyjnego kolegę, byłego posła PiS, a potem działacza Ruchu Narodowego, Andrzeja Diakonowa, którego partia skierowała do pracy w Komisji Nadzoru Finansowego.

W sprawach gospodarczych Nawrockiemu doradzać też będzie Leszek Skiba. W rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego był wiceministrem finansów, a potem trafił ▶

► na odcinek bankowości i został prezesem Banku Pekao SA.

Skiba zastąpiła zatrudnianiem armii doradców o wątpliwych kompetencjach, którzy na fikcyjnych posadach (nie wykonywali żadnej pracy lub ją pozorowali) zarabiali gigantyczne pieniądze. Funkcjonariusz pisowskiej propagandy Jarosław Olechowski zarobił przez rok prawie 1,4 mln zł, Ryszard Madziar, szef gabinetu politycznego wiceprezesa rady ministrów Jacka Sasina – 3 mln zł w dwa lata, Małgorzata Raczyńska-Weinsberg, przyjaciółka matki braci Kaczyńskich – 3,3 mln zł w półtora roku, a żona prezesa PKOI Agnieszka Piesiewicz

sprzeciwia się rozwodom, związkom osób tej samej płci, aborcji, antykoncepcji i edukacji seksualnej.

Wśród prezydenckich doradców nie mogło zabraknąć bytej posłanki i europosłanki PiS Beaty Kempy, która „wielokrotnie brała udział w debatach i inicjatywach na rzecz obrony chrześcijan, zarówno w kraju, jak i za granicą” oraz „angażuje się w działania mające na celu ochronę wiary oraz symboli religijnych, takich jak krzyż”.

Czy Kempa będzie doradzać Nawrockiemu, jak bronić jedynie słusznej wiary – nie wiadomo. W rządzie Mateusza Morawieckiego polityczka była ministrem ds. pomocy huma-

policjantów z Komendy Głównej Policji. Kilku funkcjonariuszy z Biura Kryminalnego KGP namierzało komórkę najnowszym sprzętem. Okazało się, że iPhone znajdował się na terenie jednego z biur stołecznego ratusza. Policjanci wkroczyli do magistratu, a telefon odnaleźli na biurku urzędnika. Mężczyzna został zatrzymany, przewieziono go do centrali policji i przesłuchano niczym terrorystę. Tymczasem znalazł on telefon w drodze do pracy, a ponieważ komórka była zablokowana, liczył, że właściciel zadzwoni.

Na bezpieczeństwie zna się również doradca Krzysztof Wacławek, były szef ABW. Wacławek karierę zaczynał w Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, gdzie odegrał kluczową rolę w słynnej operacji „Krystyna” wymierzonej w Jolantę i Aleksandra

Konstytucjonalista Dariusz Dudek, związany z KUL, jako tzw. ekspert aktywnie wspierał PiS w zamachu na niezależne sądownictwo.

obtowiła się na ponad 1 mln zł za raptem siedem miesięcy doradztwa. Najwięcej zarobił brat Zbigniewa Ziobry Witold Kornicki, który za ponad trzy lata pracy dostał 6 mln zł. Pieniądze z państwowego banku płynęły szerokim strumieniem na kampanię wyborczą PiS w 2023 r., a także do propisowskich organizacji, takich jak Fundacja Niezależne Media, Stowarzyszenie Pokolenie oraz Fundacja Polska360.

Kobiety po przejściach

W sprawach rodziny i demografii Nawrockiemu doradzać będzie Barbara Socha, pisowska pełnomocniczka rządu ds. polityki demograficznej i wiceministra rodziny. Choć Socha kreuje się na wybitną specjalistkę od polityki prorodzinnej, za jej rządów sytuacja demograficzna Polski pogorszyła się. Gdy Socha w 2019 r. obejmowała urząd, w Polsce urodziło się 375 tys. dzieci, a w 2023 r., gdy zakończyła prorodziną misję, było to już tylko 272 tys. Ale nie ma co się dziwić, skoro jej poglądy na rodzinę i demografię nie mają wiele wspólnego z nauką – więcej z fundamentalistyczną, katolicką ideologią.

Zanim Socha została wiceministrą, działała w Fundacji Mamy i Taty, skrajnie prawicowej organizacji, która promuje tzw. tradycyjny model wielodzietnej i wielopokoleniowej rodziny,

nitarnej. Zastąpiła z nieudolności, szerzenia dezinformacji i mówienia kłamstw na temat pomocy uchodźcom z ogarniętej wojną Syrii. Kempa (podobnie jak rząd PiS) była przeciwna przyjmowaniu syryjskich kobiet i dzieci, bo Polska „pomaga na miejscu”. Jak to pomaganie wyglądało, opinia publiczna przekonała się, gdy Kempa objęła patronatem lokalną akcję w Sycowie „Tornister dla Aleppo”, podczas której zbierano tornistry i przybory szkolne dla dzieci z ogarniętego wojną syryjskiego miasta. Ponieważ działa się to w czasie kampanii do Parlamentu Europejskiego, a Kempa startowała w wyborach, polityczka zobowiązała się, że zorganizuje rządowy transport z darami. Jednak zebrane plecaki i przybory szkolne nie trafiły do Syrii, ale zostały upchane w szkole w Sycowie. „Niemał zgniły w oczekiwaniu na transport obiecany przez posłankę i minister Beatę Kempę”, napisała „Gazeta Sycowska”, która ujawniła aferę.

Specje od bezpieczeństwa

W kwestiach bezpieczeństwa Nawrockiemu doradzać będzie Błażej Poboży, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji w latach 2019-2023. Słynie on ze skuteczności działania. Gdy w Ogrodzie Saskim w Warszawie zgubił prywatny telefon komórkowy, postawił na nogi

Kwaśniewskich. Chodziło o rzekome ukrywanie majątku przez byłą parę prezydencką. CBA nie tylko rozpoczęło śledztwo mimo braku przesłanek ku temu, ale też zaczęło fałszować dowody, aby zrobić Kwaśniewskich w przestępstwo. To na polecenie Wacławka w podległym mu Wydziale Analiz Departamentu Postępowań Kontrolnych CBA powstała analiza wyjściowa do wszczęcia operacji „Krystyna”, zakończonej skandalem i kompromitacją.

Nazwisko Wacławka wyłynęło w czasie kampanii prezydenckiej po ujawnieniu informacji, że jego podwładni w ABW zgromadzili materiały dyskwalifikujące Nawrockiego jako szefa IPN i nie chcieli mu wydać certyfikatu dostępu do tajemnic państwowych. Odkryli bowiem sprawę kawalerki, a podejrzenia wzbudziła nie tylko sama transakcja, ale także legalność posiadanych przez Nawrockiego pieniędzy, które wpłacił do urzędu miasta na wykup mieszkania. Pomimo negatywnej rekomendacji Wacławek miał osobiście wystawić Nawrockiemu stosowny dokument.

W tym samym czasie, gdy rozgrywała się sprawa certyfikatu Nawrockiego, w centrali ABW w Warszawie z czwartego piętra wypadł 45-letni mjr Michał M., szef Samodzielnej Sekcji Wsparcia Operacyjnego w Departamencie Ochrony Informacji

Niejawnych. Zdaniem prokuratury Michał M. popełnił samobójstwo. Wiadomo, że oficer był w konflikcie z przełożonymi, którzy naciskali na niego, aby wydawał certyfikaty dostępu do informacji niejawnych osobom związanym z PiS, które nie dały ręką zachowania tajemnicy. Ponieważ mjr Michał M. nie godził się na wydawanie certyfikatów ludziom prowadzącym podejrzaną działalność, był represjonowany przez przełożonych. Represje te polegały na nieustannych kontrolach pracy oficera i jego podwładnych.

Sprawa śmierci mjr. Michała M. została przez PiS zamieciona pod dywan i nie wyjaśniono wątku nacisków i szykan przełożonych.

Znajomi z podwórka

Za kontakty z samorządowcami w Kancelarii Prezydenta RP odpowiadać będzie doradca Jarosław Bujak, kolega Nawrockiego z podwórka. Bujak prowadzi salon sprzedaży okien, ale na stronie Kancelarii Prezydenta

został przedstawiony tak: „Przedsiębiorca, działacz społeczny i samorządowy. Zaangażowany w rozwój innowacyjnych technologii produkcyjnych, wspólniczy projektów, które rewolucjonizują branżę budowlaną. Jako organizator szkoleń branżowych dzieli się wiedzą i doświadczeniem, wspierając rozwój kompetencji zawodowych”.

Kolegą z podwórka i doradcą prezydenta Rzeczypospolitej jest też Łukasz Witek, trener piłki nożnej. W IPN Nawrocki dał Witkowi posadę dyrektora Biura Przystanków Historia.

Koleżanką Nawrockiego jest również Magdalena Hajduk, która przedstawia się jako wybitna specjalistka „w obszarze komunikacji społecznej, marketingu wizerunkowego i internetowego”. Hajduk pracowała z Nawrockim w Muzeum II Wojny Światowej, gdzie „udowodniła swoje umiejętności w obszarach: Digital Marketingu, Social Media Marketingu, Public Relations oraz Społecznej Odpowiedzialności Biznesu, a także bieglej

znajomości innowacyjnych systemów informatycznych”. Potem Nawrocki ściągnął Hajduk do IPN, gdzie „wdrożyła immersyjne projekty edukacyjne o polskiej historii uznane na całym świecie przez miliony odbiorców”.

Wśród powołanych doradców znalazły się i takie osobistości jak Jan Józef Kasprzyk, pisowski szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych i stołeczny radny PiS, Tomasz Obszański – wspierający PiS przewodniczący NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność, Alvin Gajadur – pisowski główny inspektor transportu drogowego i minister infrastruktury w dwutygodniowym rządzie Mateusza Morawieckiego, oraz Jacek Saryusz-Wolski – były europoseł PiS.

Karol Nawrocki zapowiedział, że grono jego doradców będzie większe. Czy do Pałacu Prezydenckiego trafią „Śledziu”, „Olo” i „Wielki Bu” – tego prezydent Rzeczypospolitej nie zdradził.

Andrzej Sikorski

LISTY

✉ A dinozaury siedziały na przystankach i patrzyły

Ze zdziwieniem przeczytałem felieton Romana Kurkiewicza. Zdziwienie przerodziło się w przerażenie tym, co autor zacytował z raportu „Wiedza i postawy obywateli europejskich wobec nauki i technologii”. Jako nauczyciel z przeszło 40-letnim stażem w szkolnictwie zawodowym zwątpiłem w efekty mojej pracy, bo wydawało mi się, że moi uczniowie nie tylko opanowali pewne pojęcia, ale też nauczyli się krytycznie myśleć.

Dziwię się, że raport nie wywołał ogólnopolskiej dyskusji o wiedzy społeczeństwa na temat efektów pracy polskiej

szkoły i uczelni, o podstawach programowych. Nie możemy się cieszyć, że prawie 50% społeczeństwa kończy uczelnie, że zdobywamy wyróżnienia w konkursach i olimpiadach. Przybywa antyszczepionkowców, zwolenników płaskiej Ziemi, niechodzących na zajęcia z wychowania fizycznego, nieprawidłowo się odżywiających, nadużywających papierosów, alkoholu itp. W tej sytuacji przestają mnie dziwić wyniki wyborów, poziom dyskusji politycznej i sukcesy skrajnych ekstremistów. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego o tym się nie mówi, nie pisze, dlaczego do dyskusji nie włączają się Kościół, partie polityczne i instytuty naukowe.

Dziwię się, że tylko mnie jest wstyd.

Wojciech Gawliński

✉ Polska telewizorami stoi

Prawda czy mit o wielkości potencjału produkcyjnego? Produkcja to proces wytwarzania dóbr materialnych, a montaż to składanie urządzeń z zespołów. Do produkcji potrzebni są fachowcy przygotowani w procesie kształcenia na poziomie zasadniczych szkół zawodowych, techników i szkół wyższych. Do montażu potrzebne są osoby mające mikroumiejętności zdobyte w trakcie kilkugodzinnego kursu i wykonujące tania proste czynności, o czym świadczy ostatnie zdanie artykułu: „Taniej da się produkować telewizory w Ukrainie...”, co jest dowodem na nasze „opóźnienie” techniczne i technologiczne. Świadczy o tym również rozmieszczenie zakładów w miejscowościach niemających tradycji produkcji i kształcenia w obszarze elektroniki.

Dawne zakłady, które zajmowały się produkcją elektroniczną, zostały starte z powierzchni ziemi. Jako państwo utraciliśmy możliwości produkcji przez likwidację na wiele lat szkół zawodowych oraz wielu techników o profilach technologicznych. Działają szkoły branżowe I i II stopnia, lecz większość z nich funkcjonuje bez bazy technicznej w postaci pracowni i warsztatów określonych jako warunki realizacji kształcenia w zawodzie w obowiązujących podstawach programowych podpisanych przez minister Zalewską (Dz.U. 2019 poz. 991). Do braku pracowni i warsztatów dochodzą poważne trudności z realizacją praktyk zawodowych przewidzianych w programach kształcenia szkół średnich oraz wyższych. Odzyskanie zdolności produkcyjnych wymaga przede wszystkim odbudowy potencjału materialnego i intelektualnego jednostek edukacyjnych. Należy rzeczy nazywać precyzyjnie i merytorycznie, a nie zaciemniać fakty, jak to robi systematycznie telewizja.

Zbigniew Milewski



Chorzowska estakada zamknięta

Jak prezydent Szymon Michałek sparaliżował komunikację na Śląsku

Mateusz Cieślak

Czy estakada, którą codziennie jeździło 45 tys. samochodów, waliła się, czy jednak nie? Oto jest pytanie.

Mieszkańcy półtoramilionowej aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej ze strachem myślą o najbliższej przyszłości. 1 września, wraz z końcem wakacji, korki pojawiają się we wszystkich większych miastach Polski, u nich jednak szykuje się istny horror.

W tym samym czasie, gdy w Katowicach, Sosnowcu czy Mysłowicach rozkopano wiele ulic w związku z największą od 100 lat przebudową szlaków kolejowych w regionie, zamknięta została estakada przebiegająca nad chorzowskim rynkiem. Codziennie jeździło tamtędy 45 tys. samochodów. Teraz kierowcy muszą zjeżdżać z jednej z najważniejszych dróg aglomeracji i kluczyć wąskimi ulicami.

2 czerwca prezydent Chorzowa Szymon Michałek zaprosił dziennikarzy na briefing pod estakadą. Oznajmił, że obiekt zostaje zamknięty. Decyzja ma być wykonana natychmiast. I tak się stało – natychmiast postawiono bariery, które uniemożliwiły wjazd na wiadukt o długości ok. 400 m. Prezydent Michałek wyjaśnił, że nie ma innego wyjścia. Ekspertyza przygotowana na zlecenie miasta wskazywała, że estakada grozi zawaleniem. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy to nastąpi – tak wynikało z raportu. Zablokowano również przejazd pod obiektem.

Stal rdzewiała, beton pękał

Już w kwietniu ub.r. wiadomo było, że z estakadą coś jest nie tak. W raporcie, który powstał wówczas na zlecenie miasta, są zdjęcia pokazujące pęknięcia na przeszłach

konstrukcji. Niektóre, zdaniem autorów raportu, zostały spowodowane korozją prętów zbrojeniowych. We wnioskach końcowych czytamy: „Konstrukcja estakady znajduje się w niepokojącym stanie technicznym. Uszkodzenia korozyjne obserwuje się wzdłuż całej długości. Główną przyczyną jest całkowita degradacja warstwy otuliny betonowej, która nie stanowi zabezpieczenia stali zbrojeniowej”. Z opinii wynikało, że konieczny jest bardzo poważny remont całego obiektu.

Prof. Janusz Rymśa, doradca Ministerstwa Infrastruktury ds. Obiektów Inżynieryjnych przy PKP PLK, oznajmił, że nie ma bezpośredniego zagrożenia katastrofą.

Projekt częściowej naprawy powstał w listopadzie, ale w tym samym miesiącu, a następnie w styczniu, władze Chorzowa otrzymały kolejne opinie na temat stanu konstrukcji. Na betonie pojawiły się także nowe pęknięcia. Pod koniec stycznia prezydent Chorzowa podjął więc decyzję, że nad miejskim rynkiem przejadą tylko te pojazdy, które ważą mniej niż 12 ton. „Dmuchamy na zimne”, mówił. Poinformował jednocześnie o zamówieniu następnej ekspertyzy, która powinna być gotowa najpóźniej za trzy miesiące.

I wreszcie nadszedł dzień całkowitego zamknięcia estakady. Chorzowski magistrat wydał komunikat: „Kierując się troską o ludzkie zdrowie i życie, w pełnej odpowiedzialności za bezpieczeństwo Mieszkańców regionu i użytkowników dróg krajowych, Szymon Michałek, Prezydent Miasta Chorzów, podjął decyzję o całkowitym wyłączeniu z użytkowania estakady”. Przywołano wnioski ekspertyzy technicznej: „W przedmiotowej ekspertyzie

wskazano, że estakada nie wykazuje żadnej nośności i ulegnie awarii lub katastrofie”. Zakazano przejazdu nie tylko po niej, ale i pod nią.

Ta decyzja miała wielorakie skutki. Wstrzymany został ruch tramwajów pomiędzy Katowicami a Bytomiem. Trzeba było wprowadzić zmiany w kursowaniu aż dziewięciu linii tramwajowych w kilku miastach aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej. Tramwaje Śląskie szybko policzyły, że decyzja o zamknięciu estakady kosztować je będzie w tym roku

ok. 5 mln zł, w przyszłym zaś – nawet 10 mln. Pasażerowie tramwajów musieli się przesiąść do autobusów komunikacji miejskiej, ale tę również ogarnął chaos. Trzeba było na szybko przeprojektować przebieg aż 20 linii autobusowych w kilku miastach. Przestały też kursować pociągi między Katowicami a Lublińcem. Pasażerom na szybko doradzano, by w Chorzowie Batorem przesiadali się do innych pociągów. Koleje Śląskie z tą kryzysową sytuacją poradziły sobie, wprowadzając zastępczą komunikację autobusową.

Okazało się, że prezydent Michałek zaskoczył nie tylko kierowców i pasażerów. Wojewoda śląski Marek Wójcik w trybie pilnym zwołał posiedzenie sztabu kryzysowego. „Decyzja prezydenta miasta Chorzowa o zamknięciu estakady zaskoczyła nie tylko mieszkańców, ale także służby i instytucje, które na co dzień organizują transport publiczny korzystający z estakady – powiedział. – Podjąłem decyzję o zwołaniu Wojewódzkiego Zespołu Zarządzania



2 czerwca 2025 r. prezydent Szymon Michałek podjął decyzję o zamknięciu estakady. Zablokowano też przejazd pod obiektem.

Kryzysowego po to, aby omówić kwestie wszystkich komplikacji związanych z zamknięciem estakady. Nadzór budowlany przeprowadzi kontrolę obiektu, ale także dokona weryfikacji ekspertyzy przedłożonej przez prezydenta miasta”.

Oczywiście natychmiast po tym nagłym całkowitym zamknięciu budowli ludzie zaczęli się zastanawiać, czy jeżdżąc estakadą, nie ryzykowali życia. Tym bardziej że prezydent Chorzowa decyzję ogłosił 2 czerwca o godz. 14.30, czyli w środku dnia, i natychmiast wprowadzono ją w życie. Skoro częściowy zakaz przejazdu po wiadukcie obowiązywał od stycznia, to czy nie i grano z bezpieczeństwem ludzi i jaki naprawdę jest stan tego obiektu.

Czy zawali się też w Polsce?

Natychmiast przypomniano, że chorzowska 400-metrowa konstrukcja została zbudowana z tej samej stali, z której wzniesiono Carolabrücke w Dreźnie. To przeprawa nad Łabą, wybudowana na przełomie lat 60. i 70. Jeździły po niej samochody i tramwaje. 11 września 2024 r. zawaliło się ok. 100 m tego mostu. Na szczęście nikt nie zginął. Chwilę wcześniej przejechał po nim tramwaj.

„Dziennik Zachodni” informował, że oba obiekty powstały w tym samym okresie, czyli w latach 70. XX w. Wybudowano je przy zastosowaniu tej samej technologii. Jak później się okazało, przyczyną katastrofy w Dreźnie była wewnętrzna korozja konstrukcji. Gazeta przytaczała wypowiedź Holgera Kalbego z dreźnieńskiego Urzędu Dróg i Inżynierii Lądowej, który przekonywał niemieckie

Zanim w tej sprawie wypowiedział się nadzór budowlany, okazało się, że prezydent Chorzowa nie konsultował swojej decyzji także z Urzędem Transportu Kolejowego. Dwa dni po radykalnym kroku Michałka PKP PLK poinformowały o przywróceniu ruchu kolejowego pod estakadą. Kolejarze powoływali się na nowe zarządzenie prezydenta, które nie zawierało już zakazu poruszania się pociągów

Władze Chorzowa przy współpracy z Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolią chcą stworzyć nowe rozwiązania drogowe w tej części regionu.

media: „Nie można było przewidzieć, że stan przeprawy jest tak zły, że się zawali”. Nic więc dziwnego, że na Śląsku wiele osób zastanawiało się i nadal zastanawia, czy w Chorzowie mogło dojść do katastrofy – tydzień przed decyzją prezydenta, miesiąc przed nią albo i pół roku wcześniej... Zwłaszcza że polską estakadą codziennie przejeżdżało znacznie więcej samochodów, wśród nich wiele ciężarówek. Obok i poniżej jeździły tramwaje.

To pytanie, na które nawet teraz nie ma jasnej odpowiedzi. Chaos informacyjny wprowadza niepewność.

pod wiaduktem. Poinformowano poza tym, że „wiadukt drogowy znajdujący się nad torami będzie pod nadzorem pracowników PLK”. Co należy rozumieć w ten sposób, że wyznaczeni pracownicy kolei mieli obserwować betonową konstrukcję, by w porę zatrzymać pociąg, jeśli działałoby się z nią coś złego.

Cała ta sytuacja zaskoczyła również miejscowych przedsiębiorców. Szczególnie tych, którym urząd miejski wydzierżawił pawilony na chorzowskim rynku. Kazano im zaprzestać prowadzonej tam działalności. Pozwolono ewakuować dobytek. ▶



11 września 2024 r. zawaliło się ok. 100 m Carolabrücke w Dreźnie. Na szczęście nikt nie zginął. Chwilę wcześniej po moście przejechał tramwaj.

► W jednym z tych pawilonów działała księgarnia Dopełniacz, należąca do sieci wydawnictwa Sonia Draga. „Miasto wiedziało o problemach technicznych od lat, a jednak zdecydowało się na budowę pawilonów. Nikt nas nie informował o zagrożeniu”, napisali przedstawiciele wydawnictwa w emocjonalnym wpisie. Ich księgarnia istniała tam od 2019 r. W lutym 2025 r. do wydawnictwa dotarły pierwsze nieoficjalne informacje o problemach technicznych estakady. W kwietniu władze miasta podniosły księgarńi czynsz. Na prośbę o uwzględnienie profilu działalności księgarńi nie było odpowiedzi.

Nadzór budowlany: podeprzeć albo nie podpierać

Wreszcie wypowiedział się nadzór budowlany. I tylko spotęgował zamieszanie. Najpierw głos zabrał prof. Janusz Rymsza, doradca Ministerstwa Infrastruktury ds. Obiektów Inżynieryjnych przy PKP PLK. Oznajmił, że nie ma bezpośrednio zagrożenia katastrofą, zwłaszcza w tym miejscu, pod którym przejeżdżają pociągi. Przeszło nad

torami miało zostać wzmocnione 11 lat temu i jest stale monitorowane. Z kolei wojewódzki inspektor nadzoru budowlanego uznał, że na razie wystarczy wprowadzić rozwiązanie prowizoryczne. Nakazał władzom Chorzowa tymczasowe podparcie całej konstrukcji. Czynności te miały zostać zakończone przed 1 września, czyli przed początkiem roku szkolnego i karkami.

Szymon Michałek oznajmił, że zalecenia inspektora budowlanego nie wykona. Powołał się na ekspertyzę zamówioną przez chorzowski magistrat. Zgodnie z nią podparcie całej konstrukcji nie jest możliwe i trzeba ją rozebrać. Co w zamian?

Władze miasta chcą nowego rozwiązania drogowego. Prezydent Chorzowa wspominał o konieczności współpracy z Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolią w zakresie przyszłego układu komunikacyjnego w tej części regionu. Prezydent Katowic nie krył irytacji. „Jakbyśmy wszyscy chcieli podchodzić do sprawy jak pan, to mamy paraliż w całej metropolii”, mówił, przypominając, że z podobnymi problemami technicznymi zmagają się

inne miasta. Zwrócił też uwagę, że taka decyzja wymaga przygotowania i współdziałania, a nie stawiania partnerów przed faktem dokonanym. Wypomniał milionowe straty Tramwajów Śląskich.

Niedawno zaś doszło do sensacyjnego zwrotu w sprawie. Główny Inspektor Nadzoru Budowlanego wstrzymał decyzję śląskiego inspektora. Częściowo więc stanął po stronie władz Chorzowa, twierdząc, że wykonanie podpór byłoby nieefektywne finansowo i niemożliwe do zrealizowania w wyznaczonym czasie. GINB stwierdził też, że zalecenie użycia tymczasowych podpór nie zostało poparte wystarczającymi analizami i obliczeniami.

Prezydent Chorzowa jest konsekwentny. Estakada musi przestać istnieć. Powołał zespół, który ma stworzyć nową koncepcję chorzowskiego rynku. Bardziej zielonego i bez jeżdżących nad nim samochodów. A korki? Korki i tak są zmorą aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej. Czy będą dłuższe i jeszcze bardziej dokuczliwe, przekonamy się 1 września.

Mateusz Cieślak

Z Galicji



Jan Widacki

Najpierw spotkanie na Alasce, później w Waszyngtonie. I właściwie wszystko po staremu. Sukcesem ma być to, że Putin zgodził się spotkać z Zełenskim osobiście. Łatwo się domyślić, czego zażąda. Obawiam się, że wrócimy do punktu wyjścia, czyli do punktu bez wyjścia.

Putin upiera się, że Ukraina ma oddać Krym i Donbas. Czyli trochę ponad 20% swojego terytorium. Ma zrezygnować z ambicji wstąpienia do NATO, zapewnić jakieś szczególne prawa mniejszości rosyjskiej i... rosyjskojęzycznej. Nie bardzo wiadomo, o jakie konkretnie prawa tu chodzi, można jedynie się domyślać. Do przyjęcia tych warunków Putina Trump był gotów nakłaniać Ukraińców. Jakkolwiek jednak by patrzeć, ich przyjęcie to zaakceptowanie, że w XXI w. w Europie granice można przesuwac siłą, co jest jawnie niezgodne z prawem międzynarodowym.

„załatwił” Zełenskiemu Trump. To zagrywka cyniczna i podła. Jaka będzie pozycja Zełenskiego w rokowaniach z Putinem? Putin podyktuje mu łagodniejsze warunki niż te, które przedstawił Trumpowi? To przecież oczywiste, że nie. Jakie argumenty będzie miał Zełenski? Jeśli przyjmie warunki Putina, to zaprzeczy sam sobie, straci w Ukrainie cały swój autorytet. Nie przyjmie? Trump znów się na niego obrazi, powie, że to jego wina, że wojna trwa, ograniczy pomoc albo całkowicie ją zakończy.

Ukraiński prezydent przyjmie warunki Putina, a Europa milcząco zaakceptuje, że można w XXI w. siłą przesuwac granice, odbierac innym państwom kontynentu terytoria? A co z europejskim nakazem aresztowania Putina? Kto niby miałby go wykonać? Swoją drogą, wykazano się brakiem wyobraźni, wydajac taki, z założenia nierealizowalny, nakaz. A teraz co, nakaz zostanie odwołany? Zapomniany? Będzie ignorowany przez kolejne

Co dalej z Ukrainą?

Był kiedyś taki żart, nawiasem mówiac – groźny. „Co to jest agresja? Agresja jest wtedy, gdy jedno państwo napadnie na drugie bez zgody Związku Radzieckiego”. Czyżby teraz aktualny był żart nie żart: zmienianie agresją i siłą granic stanowi zbrodnię przeciw prawu międzynarodowemu, o ile nie ma aprobaty Donalda Trumpa? Wszystko na to wskazuje, że właśnie tego rodzaju zmianę zaaprobował.

Europejscy przywódcy polecieli do Waszyngtonu, by go przekonywac, aby czegoś takiego nie akceptował; z Polski nie poleciał nikt: ani prezydent, ani premier. W mediach powszechnie ubolewano, że na tym ważnym spotkaniu zabrakło przedstawiciela Polski. W sumie dobrze, że żaden nie poleciał, bo każdy z nich ma zasadniczo odmienną koncepcję polityki zagranicznej. Tusk jest proeuropejski, Nawrocki antyeuropejski i bezkrytycznie proamerykański. W tym uwielbieniu Ameryki (i Trumpa) i opieraniu polskiego bezpieczeństwa głównie na dwustronnym sojuszu z USA, z pominięciem Europy, nie przeszkadza Nawrockiemu nawet to, że widzi, jak mało lojalnym sojusznikiem Ukrainy jest Trump, namawiac Zełenskiego do faktycznej kapitulacji. Gdyby do Waszyngtonu poleciał Tusk, Nawrocki dezawuowałby jego stanowisko. Gdyby poleciał Nawrocki, to samo musiałby robić Tusk. Nie wpłynęłoby to korzystnie na pozycję Polski w Europie i w świecie. To nieszczęście, że w sprawach polityki zagranicznej, a więc także bezpieczeństwa, stanowiska prezydenta i rządu tak się różnią.

Rzecz znamienna – w Waszyngtonie nie mówiono już o ustępstwach terytorialnych Ukrainy, czyli de facto o uznaniu skutków rosyjskiej agresji i podboju. O tym mają rozmawiac osobiście Putin z Zełenskim. Spotkanie to wspaniałomyślnie

państwa? Naprawdę nie lepiej było go nie wydawać? Na razie po waszyngtońskim szczycie, na którym Polaków nie było, rozmawia się wyłącznie o tym, że Ukraina dostanie gwarancje bezpieczeństwa od USA i NATO, i przekonuje, że uzgodnienie tego to sukces, bo przynajmniej w ten sposób zostanie ocalona jej niepodległość. No dobrze – ale niepodległość w jakich granicach? I skąd pewność, że obiecane gwarancje będą bardziej skuteczne niż te, które niegdyś dano Ukrainie w zamian za wyzbycie się broni jądrowej?

Można to różnie nazywac, ale fakt jest faktem. Ukraina musi skapitulowac przed Rosją i przyjmac jej warunki. Musi pożegnac się z Krymem, Donbasem, może jeszcze z jakimś kawałkiem swojego terytorium, wyrzec się swobody w zakresie polityki zagranicznej i wewnętrznej. Europa musi udawac, że jeśli chodzi o prawo międzynarodowe, nic się nie stało, potwierdziła się jedynie zasada, że nie obowiazuje ono mocarstw. Jakie inne jest wyjście? Wojna z Rosją? Tego nikt rozsądny nie bierze pod uwage. Już na początku rosyjskiej agresji Henry Kissinger, wtedy prawie 100-letni, mówił, że Ukraina będzie musiała zrzec się części terytorium. Trzeba było tylu miesięcy, tylu ofiar, aby dojść do tego samego wniosku?

Po podpisaniu traktatu ryskiego marszałek Piłsudski powiedział internowanym w Polsce oficerom ukraińskiej armii Petlury: „Ja was, panowie, bardzo przepraszam. Nie tak miało to być!”. Minęło nieco ponad 100 lat i Ukraińcy znów usłyszą (albo nawet nie usłyszą) od zachodnich polityków: „My was przepraszamy, bardzo przepraszamy. Nie tak miało być”. To jak miało być do cholery?!

Nie było jednej chłopki

Zrobiliśmy z ludowości kapitalistyczny produkt, który musi dobrze się sprzedawać

Rozmawia
Mateusz Demski

W książce wspominasz, że często wracają do Ciebie fragmenty przeczytanych pamiętników. Jeden z nich nosisz na przedramieniu.

– Wszystkie bohaterki tej książki miałam zebrane w folderze „moje dziewczuchy”. Jadwiga C. to jedna z moich ukochanych dziewczuch. Życie jej nie oszczędzało. Chciała się uczyć, nie mogła, ostatecznie udało jej się ukończyć trzymiesięczny kurs na Uniwersytecie Ludowym, ale musiała wrócić do domu, na gospodarstwo. A mimo wszystko w swoim pamiętniku, w tonie pełnym nadziei i przekonania, że będzie lepiej, w 1937 r. napisała: „Ale przecież po burzy zawsze nastąpi pogoda”. Frazę „nastąpi pogoda” wytatuowałam sobie na przedramieniu, jej charakterem pisma. Urzekło mnie, że mimo tylu zawodów i rozczarowań była gotowa z optymizmem myśleć o przyszłości. Dwa lata później wybuchła wojna, szukałam informacji, co się z nią stało, ale niczego nie znalazłam. Może w jej przypadku brak wieści to dobre wieści?

Używanie jakichś innych zdań weszło ci w nawyk?

– Mam ich całkiem sporo, m.in. od Zofii zwanej Maryską, pamiętnikarki urodzonej w 1901 r., jednej z bohaterek rozdziału o ciele i seksualności. Uwielbiam fragmenty, w których opisuje pierwsze spotkania ze swoim mężem Jaśkiem, stara się o jej rękę, przynosząc jej „bonbonny”. Chodziło o proste cukierki, nie



ANTONINA TOSIEK

– badaczka XX-wiecznej diarystyki ludowej, poetka i krytyczka, autorka książki „Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet” (Wydawnictwo Czarne).

czekoladki, bo mowa o wsi na Kujawach w latach 20., ale ja używam teraz „bonbonów” do określania wszelkich przyjemności. A po tym, jak Maryśka spędziła pierwszą noc ze swoim mężem, napisała: „Jeżeli to tak wygląda ta parada, to lepiej było się wziąć i utopić”. „Paradę” też ze sobą zabrałam. Takich powiedzonek, fragmentów ludowych piosenek czy dowcipów są w pamiętnikach setki. Znalazłam ślady nieco zmienionych,

bo pochodzących z innych regionów, zapisywanych inną gwara, słynnych porzekadełek mojej babci. Babcia recytowała wierszyk: „Szedł pies przez pole / ogon miał skulony / pewnie był żonaty / bo był zasmucony”. I mój najukochańszy tekst: „Nasza rzecz zaprosić, a ich nie przyjechać”.

Babci dedykujesz zresztą książkę, podobnie jak mamie i prababci, bez których nie potrafiłabyś zrozumieć żadnej z tych opowieści.

– Moja prababcia Stefania z córkami mieszkała na Wołyniu i została stamtąd wysiedlona. Babcia niewiele opowiadała o dzieciństwie. Wracała jednak do wspomnień o swojej przyjaciółce, Ukraince, z którą chodziła raz do kościoła katolickiego, raz do cerkwi. Ale wszystkie te najjaskrawsze obrazy, cały repertuar okrucieństw związany z rzezią wołyńską, z rozrywaniem końmi, z ucieczkami

przed UPA, był obecny w jej życiu.

Gdy babcia wyszła za mąż, razem z moim dziadkiem kupiła dom w Kujawsko-Pomorskiem. Mieli duże, dość nowoczesne gospodarstwo, mieszkali bardziej na obrzeżach miasteczka niż na wsi. Historia domu rodzinnego mojej mamy nie jest opowieścią o klasowej alienacji i ubóstwie – dziadkowie byli całkiem zamożnymi rolnikami. Ale dzięki mamie i babci od zawsze interesowała mnie opowieść o życiu i pracy kobiet na wsi.

W pewnym sensie szukasz wiedzy o swoich korzeniach?

– Wiedzę o korzeniach znalazłam już jakiś czas temu. Poetyka „odnajdywania”, którą często szafuje się w dyskursie wokół zwrotu ludowego,

wyduje mi się dość paternalistyczna i infantylizująca. Przecież większość z nas wie, skąd pochodzi, zna historie swoich rodzin, chociaż oczywiście znaczące elementy doświadczeń pokoleń naszych babć i dziadków nadal stanowią kulturowe tabu. Stąd mój projekt badawczy. Zawsze interesowała mnie kobiecość na wsi. Podczas pracy nad książką konsultowałam się z mamą. Trafiałam na wiele wątków, których nie rozumiałam albo wydawały mi się przejawione. Kiedy konfrontowałam to z jej pamięcią i doświadczeniami, wspierała głos pamiętnikarek. To dotyczyło wstydu z powodu pochodzenia, internalizacji normy płci.

Twe bohaterki przede wszystkim bały się wstydu.

– Zawstydenia i upokorzenia. Te go, że ktoś potwierdzi ich lęk co do braku własnej wartości, nieposiadania istotnej opowieści. Dlatego były takie odważne, bo mimo wszystkich obaw decydowały się pisać, zmierzyć z opinią kogoś obcego, kogoś z miasta, kto będzie się uważał za „lepszego” od nich. Nie tylko mieszczaucha czy inteligenta, ale także po prostu mężczyzny.

Czujesz, że w jakimś sensie jesteś stamtąd, że masz coś z kobiet, o których piszesz?

– Czuję, ale też pilnuję się, by niczego z ich doświadczenia nie zawłaszczać. Żeby nie uzurpować sobie prawa do bycia stamtąd, jeżeli się nie jest. Miałam szczęście, bo urodziłam się w mieście, chodziłam do dobrych szkół, moi rodzice czytali świetne książki, po które nie musiałam jeździć do biblioteki. Ale czuję w sobie połączenie z miejscowością, w której wychowała się mama, ze specyficznym rodzajem wrażliwości i myślenia o świecie. Kilko mieszkańców i mieszanek tej miejscowości stało się nawet ukrytymi bohaterami mojej debiutanckiej książki poetyckiej „storytelling”, która jest próbą opowiedzenia przełomu lat 90. na wsi. Kiedy jeździłam z nią po spotkaniach, po mniejszych miejscowościach, ludzie mówili o nas – o mnie, autorce, i o nich, czytelnikach – my. Jakbym była jedną z nich. Samo to, że podjęłam ten temat, sprawiło, że uznali mnie za „swoją”.

Trafiałaś w pamiętnikach na historie, które kończyły się szczęśliwie? W innych książkach o wiejskich kobietach nie ma zbyt wiele radości.

– Oczywiście, że tak, ale to są radość i szczęście pojmowane innymi kategoriami niż te, którymi dzisiaj operujemy, myśląc o spełnieniu. Jedna z pamiętnikarek pisała: „Myślę że każdy pamiętnik nadejście napisany od kobiety którą los życia nie oszczędził. Bardzo wątpię czy

Mamy problem nawet z jasnym wskazaniem, kim jest ten mityczny „lud”.

znajdzie się chociaż jeden, napisany przez osobę szczęśliwą”. Chyba nieszczęście, niepokój, poczucie niesprawiedliwości to imperatyw, który napędza nas do pisania i opowiadania swoich historii. Ale szczęśliwych doświadczeń jest tam wiele, związanych np. z tym, że chociaż autorce nie udało się ukończyć szkoły, zdołała wykształcić dzieci. To rodzaj dumy i spełnienia trudno przekładalny na nasze dzisiejsze emocje.



Antonina Tosiek – doktorantka Szkoły Doktorskiej Nauk o Języku i Literaturze UAM. Laureatka Studenckiego Nobla w kategorii literatura i dziennikarstwo. Członkini redakcji naukowej kwartalnika „Czas Kultury”. Autorka tomów poetyckich „storytelling” i „żertwy” – za ten drugi otrzymała Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej oraz Nagrodę Literacką m.st. Warszawy.

– Szczęście moim bohaterkom daje pokonywanie przeciwności, czyli poczucie sprawczości. Jedyna pamiętnikarka, która wyjechała do miasta, pisze: „Nikt tu po nas nie pozna, że jesteśmy ze wsi, bo moje dzieci idą z rodzicami przez miasto jak równi z równymi”. Jej szczęście to klasowy kamuflaż. Oczywiście zdarzają się też historie szczęśliwych miłości. Maryska jest zakochana w swoim Jaśku i są ze sobą ponad 50 lat.

Z drugiej strony pojawia się zdanie: „Kobieta na wsi to piekło na ziemi”.

– Z biegiem lat zmieniają się narzędzia nierówności i systemowej opresji wobec kobiet mieszkających na wsi, ale każda pamiętnikarka ma świadomość tego, że doświadcza niesprawiedliwości. W latach 30. panuje głód, bieda, kobiety nie mogą chodzić do szkoły. Lata 60. to czas, kiedy mówi się o mechanizacji rolnictwa, a kobiety pracują tyle samo albo dłużej niż pokolenia ich matek i babek, bo dochodzą im nowe obowiązki związane z innymi oczekiwaniami w kwestii wychowania, dbania o dom, zdrowszego żywienia czy mody. Lata 90. na wsiach opowiadamy sobie najczęściej obrazami upadłych pegeerów, pomijając tragedię małych gospodarstw rodzinnych czy infrastruktury społeczno-kulturalnej, którą zabiły balcerowiczowskie reformy. Z danych wynika, że odpowiedzialność za utrzymanie większości budżetów rolników indywidualnych i rodzin dotkniętych masowymi likwidacjami przejmowały właśnie kobiety.

Dlaczego twoje bohaterki pisały pamiętniki?

– Nie ma jednego scenariusza, spójnej odpowiedzi. Każda podejmowała decyzje zgodne z własnymi potrzebami i cechami osobowości. Niektóre pisały, bo kierowała nimi potrzeba znalezienia w kimś powiernika. Często w pamiętnikach pojawia się sformułowanie: „Nigdy nikomu wcześniej o tym nie mówiłam”. Albo: „Dziękuję ci tym po raz pierwszy”. Prosiły, żeby nie zdradzać danych, ▶

► nazw miejscowości, a często, żeby wycofać pamiętnik z konkursu, bo pisały motywowane nie nagrodami, ale samą potrzebą spisania i wypowiedzenia czegoś na głos.

Czasami pisały w tonie interwencyjnym. Niektóre pamiętnikarki były także wiejskimi aktywistkami w swoich wspólnotach, miały potrzebę wypowiadania się w imieniu społeczności. I jeszcze jedna rzecz, może najważniejsza – dzięki pisaniu zyskują nową podmiotowość. Przystają być elementem tła, a stają się uczestniczkami historii.

Z biegiem lat zmieniają się narzędzia nierówności i systemowej opresji wobec kobiet mieszkających na wsi.

Kilka takich przykładów znajdzie się w polskiej literaturze, która docierała również na wieś: Reymont, Orzeszkowa, Żeromski.

– Akurat „Chłopi” są pod tym kątem napisani bardzo sprawnie i realistycznie. Reymont nie bał się silnych bohaterów. Hanka to moja ukochana postać, sprawcza, dzielna. Zresztą pamiętnikarki czasami na nią się powoływały. Jagna, choć ostatnia ekranizacja „Chłopów” to pominęła, też była w pewnym sensie emancypantką. Potem kolektywną wyobraźnią zarządzały postacie Kargulowych, Pawlakowych, czyli raczej do obśmiania niż empatyzowania. Ale nic nie może się równać z tym, jak wieś została opowiedziana w latach 90. Z jaką pogardą, z jakim brakiem poszanowania specyfiki politycznej czy historycznej była pokazywana! To, co się wydarzyło z reprezentacją klasy ludowej w latach 90., skrzywiło nasze myślenie na temat relacji centrum-peryferie, a przede wszystkim tego, co tak naprawdę współcześnie oznacza wiejskie pochodzenie.

Podkreślasz, że aby napisać taki pamiętnik, trzeba było się odważyć.

– Większość pamiętnikarek pisała w tajemnicy. Trafiałam na pamiętnik, do którego zostało dodane zdjęcie z dowodu osobistego z podpisem: „Przepraszam, bo ja to pod ukradkiem pisałam”. Wiele razy wracałam do tej strony i tej autorki. Pamiętnikarki bały się opinii najbliższej

rodziny, najczęściej mężów i ojców. Bały się śmiechów, ale też, że ktoś je ukarze za to, że w ogóle o sobie opowiadają. Albo że przypadkiem powiedzą coś nieakceptowalnego o swojej wspólnotce. Jest taki wspaniały fragment: „Proszę bardzo proszę nie drukować mego pamiętnika bo ludzie by mnie mieli za najgorszą we wsi że trzymom kontakt z Warszawom”.

Jeśli średnia długość snu gospodyni wiejskiej w latach 70. nie przekraczała 5 godzin i 25 minut, to znalezienie czasu, żeby pisać, wymagało

sporego poświęcenia. A zdobyć papier i atrament w latach 30.? Trzeba było pokonać wiele przeciwności, żeby zostać pamiętnikarką.

Wiele zebranych pamiętników imponuje świeżością i żywiołem języka.

– Pamiętnikarki często są także po prostu autorkami tekstów literackich. Świadomie i nieświadomie. A z drugiej strony co to znaczy literatura? Czy wystarczy, że tekst ma intencję artystyczną? Nie mamy kategorii, która jednoznacznie by to regulowała. Natomiast ujmuję mnie, jak na niektóre pamiętnikarki wpływało to, co czytały. W latach 60. i 70. dochodzi do swoistego bumu na harlekiny. Jedną z moich ukochanych pamiętnikarek pisze romans w pegeerze, ze wszystkimi rekwizytami, np. erotycznymi scenami w stogach siana. „Siłaczka” Żeromskiego i podobne teksty dawały gotowe konwencje literackie, z których pamiętnikarki czerpały.

Co jeszcze ujmuje cię w tych pamiętnikach?

– Najbardziej lubię wracać do pamiętników, które bohaterki pisały fonetycznie, bez kropek i przecinków. Tam można się zetknąć z prawdziwą poetyką języka mówionego, żywiołem, którego nie da się imitować. Maria Dąbrowska musiała walczyć o to, żeby pamiętniki zostały uznane za literaturę, proponując przyznanie im przez redakcję „Wiadomości Literackich” nagrody za najlepszą książkę wydaną w 1937 r. Wielu członków

temu się sprzeciwiało, twierdzili, że chłopów nie można uznać za twórców literatury, a jeśli już, to, jak pisał Antoni Słonimski, „złej literatury”. Dzisiaj się okazuje, że tradycja polskiego pamiętnikarstwa to prawdopodobnie jedna z najciekawszych rzeczy, jakie się wydarzyły w tradycji naszego piśmiennictwa. Nie mamy innego gatunku, w którym tak wiele osób podjęłoby się aktu pisania. U progu lat 90. w archiwach Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa było ok. 900 tys. rękopisów. I nie dotyczy to tylko mieszkańców i mieszkanki wsi. Pisali marynarze, więźniowie, bezrobotni, lekarzki, prawnicy, górniczy, przesiedleńcy.

Sama zaznaczasz, że to zryw pisania nieporównywalny z niczym innym.

– Na konkurs „Opis mojego życia, prac, przemyśleń i dążeń młodzieży wiejskiej”, zorganizowany przez Państwowy Instytut Kultury Wsi z inicjatywy Józefa Chałasińskiego w 1936 r., nadeszło 1544 prace, a niemal jedną czwartą uczestniczek stanowiły kobiety. Tych konkursów rozpisywano później dziesiątki, a nawet setki. W latach 60. zdarzało się, że organizowano ponad 100 takich inicjatyw w roku. Pamiętnikarstwo konkursowe stało się tak popularne, że zaangażowały się w nie także czasopisma niezwiązane z wsią, m.in. „Przyjaciółka” i „Filipinka”.

W czerwcu 2020 r. Pracownia Badań nad Historią i Tożsamościami LGBTQ+ w ISNS UW we współpracy z Fundacją im. Heinricha Bölla ogłosiła konkurs na pamiętniki. 180 osób LGBTQ+ nadesłało poruszające historie ich dorostania i samotności, pierwszych miłości, coming outów i odrzucenia.

– W ostatniej dekadzie mieliśmy parę konkursów: pamiętniki osób LGBTQ+, pamiętniki pandemii oraz pamiętniki kobiet z rodzin górniczych, te ostatnie zbiera i wydaje Monika Glosowicz. Kto wie, może istnieje potrzeba kreowania głębszej, pełniejszej opowieści o sobie, może ta tradycja ma szansę odżyć. W połowie lat 90., wraz z Robotniczą Spółdzielnią Wydawniczą „Prasa-Książka-Ruch” oraz większością infrastruktury kulturalnej na wsi, umarły też konkursy.

W dodatku instytucje w nowej, neo-liberalnej Polsce przestały się interesować masowym doświadczeniem peryferii, bo ośmieszająby narrację o triumfie reform.

Czyje pamiętniki chciałabyś jeszcze przeczytać?

– Marzę o zorganizowaniu kilku konkursów. Jest dużo grup i społeczności, o których wiemy niewiele, a za chwilę znikną. To ostatni moment, żeby ich wysłuchać. Dyrektor artystyczny Teatru Polskiego w Poznaniu Maciej Nowak proponował mi rozpisanie konkursu na pamiętniki pracowniczek i pracowników teatrów z lat 50. i 60., z tych gigantycznych i kulturowych scen. Ale chcieliśmy zebrać też historie osób, które nie obroniły dyplomu aktorskiego przez stan wojenny.

A inne historie?

– Zupełnie inny rejestr to wspomnienia ostatnich osadniczek i osadników wysiedlonych z Wołynia. Bo Wołynia używa się dzisiaj jako narzędzia politycznego, jego historię zawłaszczają skrajne, faszystowskie środowiska narodowe, wykorzystując ją m.in. do siania propagandy antyukraińskiej. A z mojej lektury pamiętników wynika, że to znacznie bardziej skomplikowana opowieść. Dla większości, np. dla mojej babci, rzeź wołyńska stała się nieporównywalnie trudniejszym i bardziej brutalnym doświadczeniem niż np. okupacja niemiecka.

I jeszcze kwestia, która porusza mnie najbardziej, czyli przemilczana historia masowej przemocy seksualnej, której dopuszczała się Armia Czerwona. To jedno z największych tabu polskiej historii XX w. Zgodnie z badaniami na niektórych terenach Wielkopolski, Dolnego i Górnego Śląska po przemarszu wojsk radzieckich nawet 50% kobiet było zarażonych chorobami wenerycznymi, więc możemy sobie wyobrazić skalę. Znane są przecież historie, że w jednej czy drugiej miejscowości był lekarz, który po 1945 r. dokonywał masowych aborcji. Gdybyśmy zapytali w naszych rodzinach, pewnie odnaleźlibyśmy wiele takich nieopowiedzianych doświadczeń. Obie moje babcie ukrywały się przed Armią Czerwoną: jedna pod stosami

materiałów na balkonie kamienicy w Poznaniu, a druga pod pierzyną we wsi obok Tarnopola.

Jak oceniasz dzisiejszą falę zainteresowania historiami ludowymi?

– Niestety, mam poczucie, że dobrnęliśmy w zwrocie ludowym do takiego momentu, przeciwko któremu zwrot ludowy występował od samego początku. Jedną uniwersalizację (jedna, uniwersalna wizja historii Polski) zamieniliśmy na drugą (klasa ludowa miała jedną, uniwersalną historię). A przecież obecnie mamy problem nawet z jasnym wskazaniem, kim jest ten mityczny „lud”. W zależności od metodologii i perspektywy zmienia się definicja.

Dla tych, którzy jak ja wychodzą z tradycji postmarksistowskich, bazą jest kwestia kapitału. Ale dziś to nie takie oczywiste, bo kiedy mówimy o terenach wiejskich, mówimy też o rozbudowanych przedsiębiorstwach rolnych z dotacjami unijnymi na kilka milionów. Co więc znaczy lud? Gdzie leży granica przynależności? Problem również w tym, że opowiadając o zwrocie ludowym, zatrzymaliśmy się na definicji pochodzenia chłopskiego, często ignorując

kwestia! Jeżeli urodziła się na Śląsku, to znaczy, że w 1921 r., zgodnie z badaniami GUS, żyła w miejscu, gdzie 5% kobiet na wsi nie potrafiło pisać. A jeżeli na Polesiu, to w miejscu, gdzie 5% potrafiło. To dwie równoległe rzeczywistości. Nie ma tu analogii, poza tym, że te kobiety przynależą do jednego pokolenia i identyfikują się jako chłopki. Żeby naświetlać i – nie znoszą tego sformułowania – „oddawać głos”, zaczęliśmy używać takich uogólnień i symboli, które mają nam ograbić całość doświadczenia kilkudziesięciu procent polskiego społeczeństwa.

Jak to zainteresowanie chłopstwem ewoluuje?

– Pamiętniki mieszkanki i mieszkańców wsi badam od 2016 r., kiedy pisałam o nich licencjat i magisterkę, a termin „zwrot ludowy” jeszcze nie funkcjonował. Trwała dyskusja o „prześnieniu” rewolucji i masowego awansu klasowego, ale najważniejsze pozycje zaliczane dzisiaj do „ludowej historii Polski” dopiero powstawały. To, jak się sprzedawały „Chłopki”, jest niesamowite, nie mówiąc o tym, ile osób ta książka uruchomiła w myśleniu o swojej

W pamiętnikarstwo konkursowe zaangażowały się także czasopisma niezwiązane z wsią, m.in. „Przyjaciółka” i „Filipinka”.

doświadczenie klasy robotniczej albo skupiając się wyłącznie na kwestii awansu z wsi do miast. A jest jeszcze definicja zawodowa: rolnicza. Czyli identyfikowanie się nie poprzez przestrzeń, ale przez relację z zawodem, kwestię ekonomicznego przetrwania. **Próbuje się zawęzić, ujednoczyć to zjawisko, by było bardziej zrozumiałe i uniwersalne.**

– Dokładnie tak. I na pewnym etapie ta dyskusja wymagała jaskrawych symboli. Choćby to słynne: „Wszyscyśmy z chłopów”. Na potrzeby takiej „popularyzacji wiedzy” stworzono coś w rodzaju jednej reprezentacji klasy ludowej, także w przypadku kobiet. Nazwałam to sobie „chłopką totemiczną”. Nagle nie ma znaczenia, w jakim zaborze taka chłopka się urodziła. No jak to nie ma? To przecież najważniejsza

tożsamości. Tylko istnieje w tym jedno niebezpieczeństwo, czyli fetyszowanie traumy. Zrobienie z niej produktu. A prawda jest taka, że zrobiliśmy z ludowości kapitalistyczny produkt, który musi dobrze się sprzedawać. „Vogue” robi „ludowe” okładki, w których nie wiadomo, z jakiego regionu pochodzi dany strój. Twórcy filmu „Chłopi” zdecydowali się zrobić raczej estetyczną wydmuszkę, ignorując kluczowy u Reymonta wątek sporu o serwituty, ale stało się tak nie bez powodu – film miał być hitem, rezonować z różnymi wrażliwościami i „podoobać się” każdemu. Może to zatem moment, kiedy powinniśmy zrobić krok do tyłu? I trochę się upomnieć o wielość doświadczeń. Bo przecież nie było jednej chłopki.

Mateusz Demski

ZŁOTO DLA MINISTRÓW

Korespondencja między Felicjanem Sławojem Składkowskim a Władysławem Sikorskim na temat odpowiedzialności za klęskę we wrześniu 1939 r.

Przegrana w wojnie z Niemcami w 1939 r. dla większości obywateli II Rzeczypospolitej była szokiem. Ale jeszcze większym wstrząsem był sposób, w jaki najwyższe władze państwowe opuściły kraj, zostawiając walczące Wojsko Polskie bez naczelnego dowództwa. Zanim uciły ostatnie wystrzały, stanęła sprawa wskazania winnych za klęskę we wrześniu 1939 r. Środowisko ludowców pod przewodnictwem Stanisława Miłkołajczyka i liczni socjaliści żądali, by premier Sikorski powołał specjalną komisję, mającą ocenić łamanie praworządności i odpowiedzialność poszczególnych osób za porażkę.

Poniżej drukujemy fragmenty korespondencji pomiędzy ostatnim sanacyjnym premierem Felicjanem Sławojem

Składkowskim i wicepremierem Eugeniuszem Kwiatkowskim a Władysławem Sikorskim, premierem rządu na emigracji. W całej korespondencji tych sanacyjnych dygnitarzy największe zdziwienie budzi to, że ich głównym problemem było zabezpieczenie materialne członków gabinetu Składkowskiego, ich rodzin oraz skupionych wokół nich urzędników.

Publikowane listy, z zachowaniem oryginalnej składni i pisowni, pochodzą z unikatowego, obszernego zbioru dokumentów zatytułowanego „Kto odpowiada za klęskę wrześniową”, wydanego przez „Przeгляд”. W poniższej publikacji pominięto zawarte w książce liczne przypisy i komentarze.

Paweł Dybicz

List premiera gen. dyw. Sławoja Składkowskiego oraz wicepremiera inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego do prezydenta RP, 9 października 1939 r.

**Baile Herculane, 9 października 1939 r.
Do
Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Władysława Raczkiewicza**

(...) Dla całkowitej jasności w ocenie naszego obecnego wystąpienia pragniemy podkreślić na samym wstępie, że nie zamierzamy ani pomniejszyć naszej odpowiedzialności za okres, w którym rząd sprawował władzę, ani też nie zabiegamy o załatwienie jakiegokolwiek indywidualnego postulatu, czy też postulatu zespołu ludzkiego, związanego z b. rządem. (...)

Po przekroczeniu granicy rumuńskiej przekonaliśmy się, że wobec presji państw walczących z Polską zapewnienia dawane p. Ministr. Spr. Zagr. w imieniu Rządu rumuńskiego, nie będą dotrzymane. Już dn. 18. września Rząd nasz spotkał się z żądaniem władz rumuńskich wyrzeczenia się praw i funkcji, związanych z instytucją członków rządu, czemu w imię ustalonych założeń, za

pośrednictwem Ministra Spraw Zagr. sprzeciwiliśmy się kategorycznie bez względu na konsekwencje.

To też zastosowane zostało ściśle internowanie Pana Prezydenta Rzpl. i Rządu, a ponadto internowano większość podsekretarzy stanu, pomimo braku jakiegokolwiek uzasadnienia prawnego lub politycznego. Miejsca internowania zostały rozdzielone. Prezydent Rzpl. został umieszczony w Bicaz, Rząd w Słanic, marszałek Śmigły w Craiova przy granicy bułgarskiej. Miejsca rozlokowania urzędników państwowych i osób wojskowych zostały rozrzucone na terenie całej prawie Rumunii i kilkakrotnie były zmieniane. Wszelka komunikacja została niezmiernie utrudniona i to nie tylko pomiędzy poszczególnymi zgrupowaniami internowanych i uchodźców z Polski, ale nawet została przerwana łączność pomiędzy Rządem, a polskimi placówkami dyplomatycznymi w Rumunii. Za wyjątkiem bardzo nielicznej grupy osób całe uchodźstwo polskie znalazło się od pierwszego dnia w niezwykle trudnych warunkach materialnych. Nikt nie rozporządzał walutą rumuńską; spekulacja wydobywała złote polskie, płacąc za złotego 2-4 lei, tj. 10%

istotnej wartości. Ostre chłody stały się dokuczliwe dla licznych rzesz polskich, ewakuowanych nagle i pozbawionych ciepłej odzieży. Dyrektor Banku Polskiego i Konsulat w Czerniowcach czyniły nadludzkie wysiłki, aby opanować wytworzoną sytuację, co w części udało się przez uruchomienie wymiany złotych na leje – w ograniczonej ilości – przy kursie 20 l. za 1 zł w oparciu o dokonane odmrożenie należności handlowych i przez sprzedaż 250 kg złota bankowi rumuńskiemu.

Również poczęły się formować z inicjatywy polskiej różne komitety pomocy uchodźcom, które jednak wobec braku środków materialnych nie zdołały dotychczas rozwinąć akcji na skalę najniezbędniejszych potrzeb. Wszystkie zaś nasze usiłowania, czy to w sprawie umożliwienia członkom naszego rządu odwiedzenia obozów i zorganizowania samopomocy, czy to w sprawie uruchomienia odpowiednich funduszy, którymi mogliśmy do dn. 30 ub.m. dysponować, z powodu stawianych nam trudności – spełzły na niczym.

Musieliśmy obawiać się, że w tych okolicznościach niektóre środowiska polskie ulegną depresji psychicznej, zwłaszcza, że docierały



Eugeniusz Kwiatkowski



Felicjan Sławoj Składkowski

do nas wiadomości, że wroga propaganda czyni największe wysiłki, by rozbić nas również w znaczeniu ideowym. W kilku obozach stwierdzono ostatnio szerzenie się epidemii. W odosobnionych wypadkach miały miejsce demonstracje uchodźców przeciwko dotkliwym warunkom fizycznego bytowania.

Pomimo trudności – podejmowaliśmy ponawiane usiłowania, by zachować siły fachowe i moralne tego szczególnie cennego zespołu ludzkiego dla pracy państwowej. Licząc się jak najbardziej, że zasoby państwa muszą służyć celowi wyższemu ponad wszelkie prawa i postulaty personalne, polecieliśmy wypłacić prowizorycznie skromne pobory za miesiąc październik wszystkim urzędnikom, przebywającym w Rumunii, przyczem dla najwyższych kategorii pracowników – i to bez uwzględnienia dokonanej de facto dewaluacji złotego – pobory te wahały się w granicach 20-30% poborów otrzymywanych w Polsce. I choć zarządzenie to ze względu na trudności komunikacyjne nie mogło być zrealizowane w stosunku do wszystkich funkcjonariuszy cywilnych, to jednak wiadomości o decyzji niepozostawienia naszych ok. 1500-1800 pracowników,

ewakuowanych do Rumunii na rozkaz Rządu, na łasce losu i wątpliwej opiece obcego rządu, przyniosły pewne uspokojenie. Wreszcie niezwykle ważna sprawa wojska. Tylko mała część zdołała wydostać się do nowo-tworzącej się armii polskiej. Olbrzymia większość przebywa tu w bardzo trudnych warunkach. Przyczeczona pomoc ze strony Rumunii, albo dotychczas zupełnie nie została zrealizowana, albo ograniczyła się do pomocy w naturze, umożliwiającej

Wykorzystanie funduszy publicznych dla celów zaopatrzenia poszczególnych osób przekroczyło dopuszczalne rozmiary.

niedostateczne wyżywienie. Jesteśmy tego zdania, że zagadnienie materialnej egzystencji – oczywiście w najbardziej skromnych warunkach – wojskowych i cywilnych uchodźców polskich, znajdujących się w Rumunii, ma duże moralne znaczenie. Ustalenie warunków i miejsc wymiany posiadanej jeszcze waluty polskiej przez naszych obywateli oraz ustalenie choćby prowizoryczne w skali najniezbędniejszej poborów dla pracowników państwowych jest – wedle naszego zdania – konieczne i słuszne.

Jednakże z całym obiektywizmem pragniemy podkreślić, że zagadnienie materialne tej rzeszy polskiej, która nie ze swej woli znalazła się obecnie w Rumunii, nie jest sprawą najważniejszą. Cel, który przyświeca tym przymusowym i wierzymy w to – chwilowym – emigrantom, to chęć aktywnej służby dla Polski, podeptanej i upokorzonej przez najeźdźców. Pobyt w Rumunii mógł być rozumiany przez nich tylko jako etap ku czynnej pracy bądź to w polskich formacjach wojskowych, bądź też w pracy organizacyjnej, związanej bezpośrednio ze sprawą odbudowania państwa. Tymczasem ogarnęło wszystkich największe przygnębienie na widok internowania Głowy Państwa i na świadomość bezsilności, skoro nawet po przekazaniu Swego najwyższego Urzędu w ręce nowego Prezydenta Rzpl., swobodnego w Swych decyzjach i Swym działaniu, bezprawnie jest nadal internowany i zatrzymywany w Rumunii b. Prezydent Rzplitej.

Ogarnęło ich przygnębienie, gdyż znaleźli się wobec przymusowej beczynności i nie wiedzą, czy mogą być Polsce gdziekolwiek jeszcze potrzebni i użyteczni. Ponieważ poczuwamy się nadal moralnie odpowiedzialni za ten zespół ludzi, a nie możemy już obecnie zapewnić im realizacji celu, dla którego szli z Polski na wychodźstwo, przeto pragniemy stwierdzić z poczuciem najwyższej odpowiedzialności, że ludzie ci

– zarówno pracownicy państwowi, jak też i ich szefowie, obecnie po wstrząsających wypadkach w Polsce, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, nie mają innego drogowskazu w życiu, jak służba Polsce i walka o Jej niepodległość.

To też sądzimy, iż kapitał ludzki, zgromadzony na uchodźctwie w Rumunii, mógłby być z pożytkiem dla państwa, bez żadnych wątpliwości wewnętrzno-politycznych, choćby stopniowo, ale planowo wciągnięty do aktywnej pracy. ▶

▶ Rekapituluując, stwierdzamy:

1. Że dotychczas nie został załatwiony problemat zwolnienia z internowania b. Prezydenta Rzpl. Prof. I. Mościckiego, który przez długie lata był symbolem suwerenności naszego Państwa. Sprawa ta domaga się decyzji, przekreślającej dotychczasowy stan, zarówno bezprawny, jak i godzący w naszą zbiorową ambicję.

2. Że dotychczas – pomimo złożenia swych mandatów członków rządu – b. ministrowie są internowani i nie mogą przyjąć udziału w akcji, która nie może być zamknięta przed żadnym z obywateli Polski, tj. w akcji odbudowania pełni praw Rzeczypospolitej, bez względu na to, jaki zakres pracy może przypaść poszczególnej jednostce w udziale.

3. Że wbrew wszelkim zasadom i wbrew stanowi prawnemu w Polsce są nadal internowani przebywający w Rumunii podsekretarze stanu, reprezentujący ciągłość prac w resortach rządowych.

4. Że urzędnicy, ewakuowani z Polski na polecenie Rządu, nie mogą dotychczas wypełnić swego obowiązku i swej woli lojalnego służenia Państwu, a ich byt materialny jest jak najbardziej pożałowania godny.

5. Że zagadnienie wojskowe polskich w Rumunii nie może być uważane za załatwione ostatecznie. Ale dotykając sprawy umożliwienia im pełnienia czynnej służby pod sztandarami polskimi, pozostaje otwarta sprawa zabezpieczenia ich bytu i wykonanie w całej pełni zobowiązań przyjętych przez Rząd rumuński.

6. Że znaczna liczba uchodźców prywatnych, przebywających w Rumunii, nie może tu zająć się żadną twórczą pracą i jest na razie pozbawiona opieki społecznej w zakresie choćby najskromniejszym. (...)

(Gen. dyw. Sławoj Składkowski)

(inż. Eugeniusz Kwiatkowski)

Odpowiedź premiera Sikorskiego na list Sławoja Składkowskiego i Eugeniusza Kwiatkowskiego, 4 listopada 1939 r.

Pan Prezydent R.P. skierował do mnie pismo Panów z dn. 9 ub.m., dotyczące, w pierwszej linii losu



Gen. Władysław Sikorski

b. członków Rządu oraz zgrupowanych na terenie Rumunii urzędników.

Na wstępie zaznaczyć pragnę, iż w piśmie Panów brak jakiegokolwiek śladu zrozumienia sprawy najważniejszej, a mianowicie odpowiedzialności tego rządu za ostatnie wydarzenia, odpowiedzialności tem większej, że uważają się oni za dalszy ciąg rządów od r. 1926. Jest ona tak straszliwą, jak rzadko bywa w dziejach. Nie waham się

Sytuacja, jeśli nie całego wychodźstwa w Rumunii, to uprzywilejowanych jego części, jest znacznie lepsza niż w innych krajach.

stwierdzić, że w tym stanie rzeczy wszelkie podnoszenie głosu przez rząd kłęski narodowej jest czemś nieoczekiwany.

Nie zapominajcie Panowie, że mimo nieuchronnie nadchodzącej burzy dziejowej, rząd Panów ani jej nie przewidział, ani nie chciał dzielić swej odpowiedzialności z narodem. Odrzucał on uporczywie wszelką myśl o jedności narodowej. Po wybuchu wojny natomiast, nie wahał się odpowiedzieć na powszechne w tym względzie pragnienie narodu nominacją

płk. Kostka-Biernackiego, która była urągówiskiem dla społeczeństwa.

Mimo to, biorąc pod uwagę, że powszechne nieszczęście narodu nie ominęło także Panów, pragnę zająć stanowisko w niektórych sprawach poruszonych w tym piśmie, nie wchodząc zresztą w szczegóły.

Los osób, którymi zajmuje się list Panów, jest niewątpliwie ciężki, ale wobec ogromu nieszczęść natury politycznej, materialnej i moralnej, jakie spadły na cały naród polski – nie z winy Rządu obecnego – nie mogę sprawie byłych władz internowanych w Rumunii, przypisać tak wielkiego ogólnopolskiego znaczenia, jakie nadają mu Panowie. Musi być ona traktowana równorzędnie z ogólną sprawą wychodźstwa i z innymi, niemniej ważnymi, a stojącymi przed nami zadaniami. Poczyń jednak i czynię dalej starania, celem zwolnienia internowanych osób, w szczególności b. Prezydenta R.P. prof. Mościckiego, oraz ułatwienia im wyjazdu do innych krajów. Nie jest mi zresztą wiadome, dokąd zamierzają i mogą wyjechać poszczególni b. członkowie rządu.

Pismo Panów porusza sprawę odpowiedzialności b. rządu za okres, w którym sprawował władzę, a w szczególności także za opuszczenie przez ten rząd, łącznie z nacelnym dowództwem armii, terytorium Państwa Polskiego. Nastąpiło ono

w okresie, kiedy przeważająca część armii walczyła za kraj, a ludność cywilna zmuszona przez odpowiednie wezwanie władz albo też przez bieg wypadków wojennych do opuszczenia swoich siedzib, przechodziła przez najcięższe cierpienia z powodu głodu, braku dachu nad głową i zupełnej dezorganizacji władz państwowych, pozbawionych kierownictwa i dyrektyw.

O sprawie tej wyda we właściwym sądzie historia i naród polski, kiedy odzyska z powrotem władzę w kraju. Tymczasem każdy Polak tłumaczyć musi

w sobie uczucie rozpaczy, nie tylko z powodu chwilowej utraty wolności, ale przede wszystkim z powodu upokarzających okoliczności, w jakich nastąpił upadek kraju. (...)

Przypuszczenie, że rząd rumuński – w braku wyraźnych stipulacji i gwarancji w tym względzie – pozwoliłby na przejazd przez swoje terytorium rządowi, urzędowi i formacjom wojskowym polskim, a nawet dopuściłby do urzędowania władz polskich w Rumunii i do kierowania stamtąd wojną, byłoby w tych warunkach co najmniej ciężkim błędem, opartym na kompletnej nieznamomości stosunków politycznych i prawnych.

Opłakany stan materialny części uchodźstwa polskiego w Rumunii jest Rządowi Polskiemu znany i stanowi przedmiot ciągłej jego troski. Rząd pragnie, w miarę swych środków dopomóc wychodźstwu, zarówno przez bezpośrednią akcję Min. Opieki Społecznej, jak i za pośrednictwem organizacji społecznych, działających, lub powstających w różnych krajach z udziałem lub z inicjatywy Rządu.

Ale trzeba zaznaczyć, że opieka nad wychodźstwem nie może dotyczyć szczególnie tylko Rumunii, a w szczególności świty rządowej, lecz musi się rozciągnąć na wszystkie tereny naszego uchodźstwa, a więc również Węgier i Litwy. Akcja pomocy objąć musi także stopniowo okupowane tereny naszego kraju. Sprawa ta należeć będzie do najważniejszych i wszystkie usiłowania i środki, jakimi rozporządzam w tym kierunku, będą musiały być skierowane.

Według informacji Rządu, sytuacja, jeśli nie całego wychodźstwa w Rumunii, to w każdym razie uprzywilejowanych jego części, jest znacznie lepsza, aniżeli w innych krajach. Jak wynika nawet z pisma Panów przebywające tam sfery urzędowe w szerokim stopniu wykorzystują fundusze publiczne, wyptacając zarówno w złotych, jak w walutach zagranicznych poważne sumy dygnitarzom i urzędnikom państwowym. Nawet pewne ilości, znajdującego się w Rumunii złota, zużyte zostały w tym celu. Według raportów,

posiadanych przez Rząd Polski, wykorzystanie funduszy publicznych dla celów zaopatrzenia poszczególnych osób, w wielu wypadkach przekroczyło wszelkie dopuszczalne rozmiary i będzie musiało być w przyszłości niewątpliwie przedmiotem szczególnych dochodzeń.

Zaznaczam, że używanie przez Polskę złota, będącego we Francji, bądź to na wypłatę pensji urzędnikom, bądź też na cele pomocy społecznej, nie uważa Rząd w ogóle za

być powodem do dalszego wyróżnienia tych urzędników z pośród pozostałego wychodźstwa. (...)

Generalne uznanie ewakuowanych do Rumunii urzędników jako „zespołu najwartościowszych jednostek w aparacie urzędniczym” nie może być przez Rząd Polski przyjęte. Wiadomo, że dobór urzędników w ostatnich latach odbywał się w warunkach dalekich od prawidłowości, a nawet przyzwyczajenia. Toteż indywidualne wciąganie do służby w tworzącym

Opieka nad wychodźstwem nie może dotyczyć tylko Rumunii, a w szczególności świty rządowej.

możliwe. Posiadane złoto powinno być w przyszłości zwrócone krajowi na cele jego odbudowy finansowej i gospodarczej.

Specjalne uprzywilejowanie tych urzędników państwowych, którzy w ostatniej chwili przed opuszczeniem kraju przez rząd polski zostali wyróżnieni w formie utworzenia specjalnych zespołów, podczas, kiedy inni urzędnicy, uprzednio ewakuowani z miejsca urzędowania, zostali porzuceni w różnych miasteczkach i wsiach na wschodzie i południu Rzeczypospolitej, nie znajduje dostatecznego uzasadnienia i nie może

się, niezmiernie szczerłym aparacie państwowym tych jednostek, które istotnie mogą być uznane za wartościowe, a które miało miejsce w wielu wypadkach, będzie stosowane także w przyszłości w miarę rozprządalnych etatów.

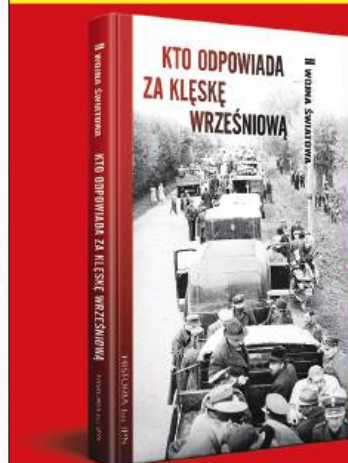
Zechcą Panowie zakomunikować powyższe uwagi innym b. panom Ministrom, w imieniu których wystosowali Panowie pismo z d.9.ub.m. do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

PREZES RADY MINISTRÓW

Do Panów

Gen. Dyw. Sławoj-Składkowskiego
i inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego

Prawda historyczna kontra kłamstwa IPN



35 zł

E-BOOK 15 zł



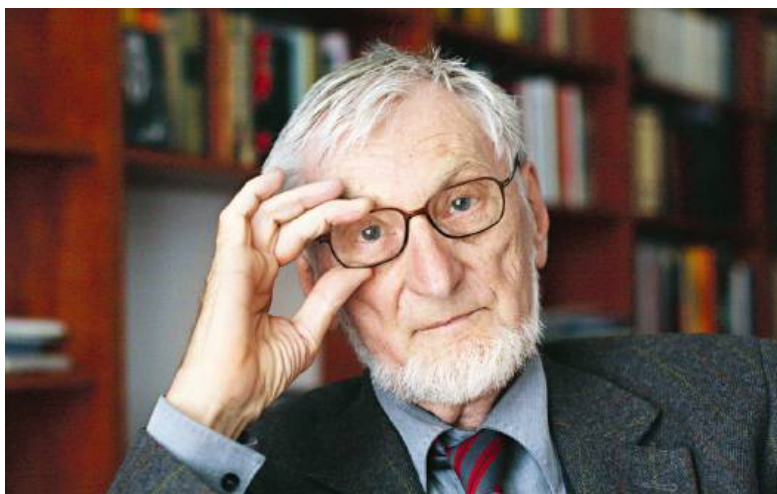
HISTORIA bez IPN

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeгляд.pl lub wpłać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

ŚWIADEK WIELKICH TRANSFORMACJI

Dlaczego warto wracać do dorobku prof. Andrzeja Walickiego



Jarosław Dobrzański

20 sierpnia br. minęło pięć lat od śmierci prof. Andrzeja Walickiego, który był jednym z ostatnich przedstawicieli ginącego gatunku wielkich humanistów polskich. Należał do pokolenia, które dojrzywało w okresie bezpośrednio poprzedzającym II wojnę światową, uzupełniało edukację w jej trakcie, a swoją formację światopoglądową kształtowało tuż po jej zakończeniu. Razem z niezliczonymi przedstawicielami przedwojennej kadry akademickiej, którym udało się uniknąć zagłady, pokolenie to uczestniczyło w odbudowie fundamentów polskiej humanistyki oraz w odtwarzaniu edukacji uniwersyteckiej w szczególnie trudnych warunkach, w trakcie narodzin Polski Ludowej.

Prócz niewyobrażalnego ogromu strat i cierpień tamta wojna przyniosła radykalne przekształcenie

przedwojennego porządku świata, z konieczności odciskając wyraziste piętno także na formach życia i sposobach myślenia w naszym zakątku tego świata. Po raz drugi za życia wspomnianego pokolenia z podobną co do rozmiarów, ale na szczęście pokojową reorientacją mieliśmy do czynienia po roku 1991, kiedy rozpadł się Związek Radziecki – jedno z dwóch mocarstw, które ukształtowały powojenny porządek światowy – co pociągnęło długą, niekontrolowaną i wciąż niezakończoną serię niewyobrażalnych przedtem konsekwencji, zarówno w skali makro, tzn. geopolitycznie, jak i lokalnie, w skali mikro.

Historyk i filozof

Andrzej Walicki był świadkiem tych wielkich transformacji. Świadkiem szczególnym, bo jako historyk i filozof był wyjątkowo wyczulony na kierunek i często ukryty sens

zachodzących przemian, których znaczenie trudno uchwycić przypadkowemu uczestnikowi, zatopionemu w wirze wydarzeń i zgiełku konkurujących opowieści o nich. Ta szczególna pozycja świadka rozumiejącego wynikała nie z jakiegoś przywileju pochodzącego z zewnętrznego nadania, ale z przyjętej z rozmysłem postawy niezależnego i nie do końca zaangażowanego obserwatora, którego celem jest zbudowanie i przekazanie realistycznego, jak najbardziej obiektywnego obrazu świata. Wytłumaczenie i zrozumienie rozmaitych zaangażowań i stanowisk, pośredniczenie między nimi i negocjowanie porozumienia w sprawach istotnych dla dobra ogólnego wspólnoty obywatelskiej. Taką misję życiową wyznaczył sobie młody filozof na samym początku intelektualnej podróży przez zakorzenioną w przeszłości współczesność i taki „program” realizował do samego końca tej drogi. Urzeczywistniał go w dwóch płaszczyznach: teoretycznej, jako naukowiec skupiający się na rozumieniu historii idei, filozofii polityki i socjologii historycznej, oraz praktycznej – jako intelektualista publiczny, publicysta, polemista polityczny, świadomy, aktywny i odpowiedzialny obywatel.

Taki program dziś często jest wyśmiewany jako anachronizm, coś, co trąci antykwariatem, kurzem archiwów i książek, które podobno nie są już potrzebne, bo przecież – jak głosi bezmyślny slogan – „wszystko jest w internecie”. Dlatego coraz częściej powtarza się, że niepotrzebna jest już żadna utrwalona wiedza, nikogo nie trzeba już niczego uczyć, ▶

WYZNANIA NIEPOKORNEGO INTELEKTUALISTY

Testament Andrzeja Walickiego



PAKIET KSIĄŻEK 190 zł

E-BOOKI 15 zł

Publicystyka Andrzeja Walickiego to teksty o najwyższej jakości intelektualnej, znakomicie napisane, mobilizujące i satysfakcjonujące czytelnika, zarówno „amatora”, jak i uniwersyteckiego specjalistę.

prof. Janusz Dobieszewski

Profesor pokazuje, że nie można zbudować obiektywnej oceny PRL za pomocą mitologizacji zasług opozycji politycznej i autogloryfikacji kombatantów, którzy stworzyli wygodną dla siebie wersję historii.

prof. Stanisław Bieleń

Andrzej niejednokrotnie podkreślał, że im bardziej polska scena polityczna przesuwana się na prawo, tym bardziej Jego światopogląd przesuwana się na lewo. Widać to zwłaszcza w radykalizacji używanych przez Niego sformułowań.

**prof. Joanna Schiller-Walicka
i prof. Paweł Kozłowski**

Książki można kupić przez sklep internetowy sklep.tygodnikprzeklad.pl lub wpłacając odpowiednią kwotę na konto fundacji „Przełomu”: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821, Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.



► a zwłaszcza nie wolno pouczać; nie trzeba już niczego czytać, zapamiętywać, rozumieć, bo i tak nie ma żadnego kanonu wiedzy, żadnego wspólnego mianownika dla różnych opinii i różnych doświadczeń. Szkoła i sztuka mają tylko bawić, poznawanie jest tylko doznawaniem i doświadczeniem performatywnym, dzieci i studenci mają się uczyć od siebie samych we wspólnej interakcji, a wszelkie zadania intelektualne wydajniej, pewniej i szybciej rozwiąże za nas sztuczna inteligencja.

Tak oto w ciągu zaledwie dwóch pokoleń, wyzwając się z utopii komunistycznej, rzuciliśmy się w utopię neoliberalną, a ostatnim naszym mitem zbawicielskim jest ślepa wiara w nieograniczone możliwości technologii, nieskończoną moc obliczeniową komputerów i bezbłędne algorytmy maszynowego uczenia AI.

Ślepe narzędzie

Nie wierzymy też w racjonalne myślenie jako metodę rozstrzygania konfliktów, pokładając całą nadzieję w brojniach, myśleniu życzeniowym i tunelowym postrzeganiu rzeczywistości. Z góry, bezrefleksyjnie wiemy, kto jest naszym odwiecznym wrogiem i kto nie może wygrać, bo musi przegrać, i żadne argumenty nas nie przekonają, że w rzeczywistości może być – a kto wie, czy już nie jest – zupełnie inaczej.

Tymczasem zapominamy o tym, co nam mówili nasi profesorowie – pionierzy cybernetyki i teorii informacji, którzy współtworzyli programy komputerowe (najpierw tylko w sferze czysto matematycznej i logicznej, jak maszyna Turinga, a dopiero później w wymiarze fizycznym, jako namacalne, elektroniczne maszyny – komputery), oraz ci, którzy stworzyli internet i położyli podwaliny pod prace nad AI – że komputer jest tylko bezmyślnym i bezdusznym, ślepym narzędziem, „czarną skrzynką”, podlegającą niekwestionowalnemu prawu: „śmieci na wejściu – śmieci na wyjściu”. Jako forma komputera AI również mu podlega. Oznacza to, że od tego, co wdrukujemy w „mózg” AI – od jakości danych wejściowych – zależą

będą rezultaty generowanych przez maszynę wyników.

Ja zaś czytam właśnie, że jednym z zawodów, które niechybnie zostaną zastąpione przez sztuczną inteligencję, będzie zawód lekarza radiologa, specjaliści w zakresie diagnostyki obrazowej. Al bo wiem – jak przekonuje autor tej rewelacji – w swoim zasobie danych teoretycznie może mieć miliardy zdjęć rentgenowskich czy innych obrazów (tomografii komputerowej, USG, rezonansu magnetycznego, PET itp.), których żaden radiolog nie będzie w stanie obejrzeć w ciągu najdłuższego nawet życia zawodowego. Nikt jednak nie wyjaśnił, kto, kiedy i w jaki sposób miarodajnie wprowadzi do programu AI te miliardy zdjęć z bezsprzecznie prawidłowym i jednoznacznym opisem diagnostycznym, by „nauczyć” ten sztuczny mózg analizy porównawczej innych zdjęć, które w przyszłości zostaną mu przedłożone do samodzielnej oceny.

Walicki nigdy nie był marksistą ani komunistą, ale potrafił wyjaśniać zawitości i paradoksy realnego socjalizmu.

Każdy, kto miał do czynienia z algorytmami Google’a lub chatem GPT i innymi wcieleniami AI, zauważył, że odpowiedzi generowane przez te maszyny opierają się na statystyce najczęstszych wyszukiwań lub na „autorytecie” internetowych encyklopedii, a więc podpowiadają najczęstsze i najpowszechniejsze mniemania, które niekoniecznie muszą być tożsame z niepowątpiewalną prawdą i w najlepszym razie są jedynie przybliżeniem lub półprawdą, a niejednokrotnie bardzo im do prawdy daleko.

Ślady sensu

Może więc „program” Walickiego i wraz z nim cała niekonkluzywna, „bezużyteczna” i „niewydajna” w obliczu możliwości AI humanistyka nie są jednak nieodwołalnie skazane na zapomnienie i oduczenie. Jest to w końcu to samo przesłanie, które kulturze i cywilizacji ludzkości – takiej, jaką znamy – towarzyszy

od czasów Arystotelesa, bo to on właśnie wskazał na podwójne powołanie człowieka filozofującego, mówiąc o βίος θεωρητικός (życie teoretyczne poświęcone poszukiwaniu prawdy) i βίος πρακτικός (życie praktyczne), uważając to pierwsze za najwyższą formę życia człowieka.

W maju br. zmarł w Notre Dame Alasdair MacIntyre, brytyjsko-amerykański filozof uważany za jednego z najważniejszych myślicieli ostatnich 60 lat. Tak się złożyło, że w 1989 r. MacIntyre przyjechał do pracy na Uniwersytecie Notre Dame, na którym pracował wówczas również Andrzej Walicki. Dzięki temu sprzyjającemu zbiegowi okoliczności Walicki znalazł kolegę, którego własne dociekania i przemyślenia zdobyte w innych miejscach, kontekstach i okolicznościach historycznych potwierdzały wiele z jego, Andrzeja, intuicji i przekonań. A ja – wówczas doktorant na drugim roku studiów

– miałem okazję słuchać ich i dopypywać oraz rozmawiać z dwoma wybitnymi umysłami, ludźmi, którzy nigdy nie skąpili mi swojego czasu ani cierpliwości. Na dzisiejsze gusta myśl MacIntyre’a była szczególnie anachroniczna i synkretyczna – łączył filozofię analityczną, w której duchu był wyedukowany w Anglii, z marksizmem, arystoteлизmem i tomizmem. Z Walickim łączyła go krytyka liberalizmu i odporność na zbiorowe uprzedzenia: potrafił w sposób spokojny i racjonalny mówić o komunizmie, marksizmie, a nawet o Leninie, co w Polsce do dziś wywołuje zgrozę, ale dla niego nie stanowiło tabu. Walicki nigdy nie był marksistą ani komunistą, ale potrafił lepiej niż ich wojownicy czy adwersarze wyjaśniać zawitości i paradoksy realnego socjalizmu. Jeśli chcemy odnaleźć ślady sensu w otaczającej nas rzeczywistości, czytamy MacIntyre’a i Walickiego.

Jarostaw Dobrzański

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Późny wieczór po upalnym „defiladowym” dniu, kiedy odosobnieni protestowaliśmy przeciw militaryzacji polityki, życia i wydatków. Poszedłem po wodę mineralną do najbliższej Żabki. Przed wejściem niemłody, choć młodszy ode mnie mężczyzna, schludny, trzeźwy (znam się na tym), zapytał: „Czy może mi pan kupić bochenek chleba, taki pokrojony?”. Mogłem. Kupiłem. O nic nie zapytałem. Odebrał, podziękował. A ja byłem jednak jak ogłuszony. Oglądałem kilka godzin wcześniej pokaz mocy i bogactwa w postaci najbardziej śmiertelnych narzędzi, urządzeń i pojazdów, jakie buduje człowiek, a polskie państwo kupuje. Wysłuchiwałem licytowania się na bezpieczeństwo: nowy prezydent kontra minister obrony narodowej (lekarz z wykształcenia).

Czy człowiek, który zmuszony jest prosić obcą, przypadkową osobę o kupno bochenka chleba, czuje się bezpieczny? A może mógłby obejść się bez tego chleba z poczuciem, że choć jest głodny, to Putin nie zrzuca mu bomb na głowę? Powie ktoś: to inne sprawy, inne bezpieczeństwo, to nieuprawnione

o największym bezrobociu i ciągle rosnącej biedzie”. Inny ówczesny luminarz ruchu (przez chwilę, potem też odstawiony przez elity postsolidarnościowe do lamusa), autor nazwy Solidarność, rzecznik związku w latach 1980-1981, prof. Karol Modzelewski, wieloletni więzień polityczny, mówił: „Gdybym ja wiedział, że chodzi o przywrócenie w Polsce kapitalizmu – nie siedziałbym w więzieniu ani jednego dnia”.

Odbędą się uroczystości, jest imponujące Europejskie Centrum Solidarności, jednak przemyslenia Kowalika czy Modzelewskiego raczej nie wybrzmia w tych przemowach. Jest opowieść o historii prezentacją i obroną własnych racji i interesów. I choć ta ideologiczna przewrotka solidarnościowej historii jest już nawet dość dobrze opisana – nie jest obowiązkową narracją. Dla pana bez chleba nie byłoby chyba tam miejsca, bo na pewno sam jest sobie winien (choć, jak czujnie zaznaczyłem, był schludny i trzeźwy... a gdyby nie był, to na chleb nie zasługuje?) i w ogóle oczywiście – pomaga się. W politycznej opowieści, która dziś rządzi, z czołgami i armatami przegrywają

Chleba i... czego jeszcze?

zestawienie. A ja jestem przekonany, że uprawnione jak najbardziej, że symbolizm tego nieznaczącego epizodu pod Żabką wart jest zastanowienia i zatrzymania się nad nim.

Wielkie ludzkie bunt, te rewolucyjne, wcześniejsze i inne, przeważnie miały na transparentach i w wykrzyczanych hasłach chleb. Nie boga (jak to dopisano protestującym w 1956 r. robotnikom w Poznaniu na późniejszym pomniku). Chleb. To może jednak chleb jest pierwszy? To może powinniśmy oceniać kondycję państwa nie po wojennym potencjale i miliardowych zakupach, ale po tym, dlaczego człowieka nie stać na bochenek chleba?

I wtedy moje myśli cofnęły się o 45 lat. Ostatni tydzień sierpnia 1980 r. był jednym z najgorętszych momentów politycznych w najnowszej historii Polski. W kumulujących się strajkach, zapoczątkowanych tymi w gdańskiej Stoczni im. Lenina (dzisiaj śladu po tej nazwie...), wykluwał się nowy ruch związkowy, powstawała Solidarność. Potrzeba, głód zmiany były przepiękne, choć oczywiście nie powszechne. Kiedy wraca się do tych pierwszych tygodni, miesięcy, nie sposób nie pytać, jakiej Polski chciała ta nowa siła. Siła, która po dekadzie w wyniku globalnych przetarasowań i zmian w ZSRR doprowadziła Solidarność do przejęcia władzy w Polsce.

W klinczach postsolidarnościowych podziałów i hegemonii żyjemy dzisiaj. Banałem jest mówienie, że rewolucja 1989 r., zwana solidarnościową, zostawiła w tyle tamtą pierwszą, robotniczą Solidarność. Tadeusz Kowalik, doradca Solidarności, ekonomista „wyklęty”, pisał niewiele później: „Myśląc o skarleniu Solidarności, nie możemy zapominać o wielkim paradoksie: oto najbardziej masowy i najpotężniejszy ruch pracowniczy w Europie drugiej połowy XX w. wypromował jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społeczno-ekonomicznych,

asystencja dla osób niepełnosprawnych, wynagrodzenia budżetówki, nauczycieli, opieka psychiatryczna dla dzieci i młodzieży. Co tu jeszcze jakiegogo jednego dziada bez chleba wrzucać? No może dlatego, że ten jeden, którego nie stać na bochenek chleba, jest symbolem porażki tych ostatnich dekad nie gorszym od wszystkich innych zaniechań jednej z 20 największych gospodarek świata.

A tymczasem pole z kukurydzą bezkarnie zaatakowane przez zabłąkanego drona. Media miętoł, był świt i wybuch. Może lepiej, żeby człowiek mógł bochenek chleba sobie kupić? Wprawdzie na pomniku poległych stoczniovców wyryto wiersz Miłosza, ale chyba nie sądzono, że jego przestrogi wciąż będą aktualne.

Który skrzywdziłeś

*Który skrzywdziłeś człowieka prostego,
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,
Choćby przed tobą wszyscy się skłonili,
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi, że jeszcze jeden dzień przeżyli,
Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.
Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy
I sznur, i gałąź pod ciężarem zgjęta.*

I tyle nam z tej Solidarności?

Pół kroku do historii

Spełniamy marzenia. Na miarę naszych możliwości

Wojciech Kuczok

Cztery drużyny w fazie ligowej europejskich pucharów? Jesteśmy o krok od spełnienia marzeń na miarę naszych możliwości. To byłaby bezprecedensowa sytuacja, a tryb przypuszczalny włączyłem wyłącznie, aby nie zapeszyć, bo trudno sobie wyobrazić, by którakolwiek z naszych trzech wciąż walczących o awans ekip zmarnowała zaliczkę z pierwszych spotkań. Lech może nawet oddać walkowerem mecz z Genkiem, bo Ligę Konferencji zapewnił sobie już miesiąc temu w pierwszym meczu z islandzkim Breiðablikem – składną walkower byłby rozwiązaniem niegłupim, biorąc pod uwagę różnicę klas i rozmiary porażki z Belgami, a także fakt, że w Poznaniu jest teraz lazaret, a nie szatnia. Nieprawdopodobny pech sprawił, że do listy

już w pierwszym kontakcie z piłką strzelił samobójca. W dodatku ci, których na razie omija plaga urazów, są w kryzysie formy. Mateusz Skrzypczak po powrocie z Jagiellonii, w której sięgnął poziomu reprezentacyjnego, jest cieniem samego siebie – nie nadaża, nie ogarnia, zawala. Obronie Lecha nie pomogło nawet cofnięcie napastnika przy trzecim голу. Mikael Ishak raczej udawał, że kryje rywala.

Ale gdyby Lechici zagrali w optymalnym składzie, na Genk i tak pewnie byłoby za mało, bo rywale są ekipą dojralszą i piłkarsko silniejszą, nie ma jednak co się przesadnie znęcać nad tym nieszczęsnym, choć polubownym 1:5. Powinno być wyżej, bo Belgowie mieli karny, który popisowo spartaczył ich koreański napastnik Oh (och, sfuszerał malowniczo także dobitkę, trafiając, zamiast do odśloniętych 90% bramki, akurat w leżącego przy słupku Mrozka).

co zdemolowany przez stabiutkiego Lecha, albo sanmaryński AC Virtus (Mamma mia! Nawet nie wiedziałem, że San Marino ma ligę piłkarską) – nie wygląda to poważnie.

Wśród innych par kwalifikacyjnych mamy takie perełki jak dwumecz maltańsko-łotewski (Maltańczycy wygrali pierwszy mecz!) albo luksembursko-kosowski. Będzie zatem okazja upajania się kolejnymi zwycięstwami i awansami naszych drużyn jesienią, ale ze świadomością, że żerujemy na okruchach z pańskiego stołu, uczujemy niczym skulice pod kamieniem, pod który kibice klubów z TOP 5 brzydzą się zaglądać, nawet jeśli zaplącą się tam reprezentanci ich krajów.

Tej jesieni zabraknie zresztą w Conference League gigantów na miarę Chelsea, zesłorocznego triumfatora. Anglię będzie reprezentować Crystal Palace, Francję – Strasbourg, Niemcy – Mainz, a Hiszpanię – Rayo, o ile nie odpuszczą rewanżów. W tej sytuacji można w ciemno obstawiać, że w finale zamelduje się Fiorentina, a nasi ligowcy stają przed historyczną szansą dotarcia do meczu finałowego w europejskim pucharze 56 lat po Górniku Zabrze. Jeśli w komplecie przędą do fazy ligowej, prawdopodobieństwo szczęśliwej drabinki w drodze do finału wzrośnie niepomniernie, a przecież minionej wiosny zarówno Legia, jak i Jagiellonia odpadły dopiero w ćwierćfinałach właśnie z powodu kiepskich losowań.

Jagiellonia tego lata spisuje się najlepiej z naszych pucharowiczów, wygrała pięć razy, a szóste zwycięstwo wypuściła z rąk w doliczonym czasie, już pewna promocji do kolejnej rundy. W ekipie z Podlasia wciąż czaruje Afimico Pululu, bo wbrew oczekiwaniom nikt w Europie nie zaoferował poważnych pieniędzy za skutecznego Angolczyka (ostatnio ponowił ofertę Ferencvárosi,

Kolejorz z minionego czwartku prezentował się gdzieś na poziomie dotów naszej pierwszej ligi, cudów być nie mogło.

kontuzjowanych dołączyli jeszcze dwaj kluczowi obrońcy: Joel Pereira przed meczem i Antonio Milić – w pierwszej połowie spotkania.

W efekcie należałoby uznać, że przeciw Racingowi Genk, solidnej drużynie reprezentującej europejską „wyższą półkę średnią”, zagrały poznańskie rezerwy wzmocnione kilkoma graczami pierwszego składu.

Lech II gra na czwartym polskim poziomie rozgrywkowym, pokiereszowany Kolejorz z minionego czwartku prezentował się gdzieś na poziomie dotów naszej pierwszej ligi, cudów być nie mogło. Sklecona naprędce defensywa, w której nikt właściwie nie grał na swojej pozycji, była nie tylko dziurawa, ale wręcz autodestrukcyjna – biedny Michał Gurgul wprowadzony po przerwie

I tu powstaje pewien zgrzyt poznawczy – być może nasza euforia związana ze wspinaczką rankingową klubów jest tyleż uzasadniona, co i pocieszna zarazem. Być może to wcale nie zasługa progresu naszej piłki klubowej, która jest dokładnie tak samo daleko od europejskich szczytów, jak była w ostatnich dekadach, ale efekt sprzyjającego nam wynalazku litościwej UEFA, która rzuca ochłapy finansowe uczestnikom Ligi Konferencji, czyli Pucharu Łamag, inkluzywnych rozgrywek dla nacji piłkarsko przeklętych; salonikowi odrzuconych, klubom specjalnej troski, które w klasach integracyjnych zanadto odstawały. No bo jeśli na pewno zobaczymy jesienią wśród potencjalnych rywali Polaków albo islandzki Breiðablik, dopiero



Liga Konferencji UEFA, mecz Jagiellonii Białostok z Realem Betis. Nz. Afimico Pululu i Jesús Rodríguez. Białostok, 17 kwietnia 2025 r.

któremu Jaga rok temu odmówiła). Do tego szóstą młodość przeżywa w Białymstoku Jesús Imaz, świeżo przyjęty do ekstraklasowego klubu „setników”, jako drugi obcokrajowiec w historii (pierwszym jest Portugalczyk Flávio Paixão).

Po rywalach z Serbii i Danii żółto-czerwoni trafili na Dinamo City i zabawili się z rywalami, bez najmniejszych kłopotów wygrywając trzema golami. Tego awansu nie da się już wypuścić z rąk, Albańczycy są o klasę słabsi, a zwycięstwo pewne (choć nie wiem, czy „pewne” nie jest zbyt mocnym określeniem, skoro w zeszłym tygodniu z rozbawieniem zauważyłem na stronie LKS Goczałkowice-Zdrój informację o „pewnym” wyjazdowym zwycięstwie w sąsiedzkiej potyczce na regionalnym szczeblu Pucharu Polski z LKS Wiśła Wielka... 17:0).

Z tak słabym rywalem Jaga jeszcze w tym roku nie grała, choć ku lekkiej przestrodze należy przypomnieć, że wczesną wiosną po „pewnym” 3:0 z Cercle Brugge podlaskie „Pszczółki” do końca drżały o awans

w rewanżu przegranym 0:2. Legia pojechała do Edynburga pewna swego, co mimo wszystko jest chociaż mentalnym postępem, bo pamiętam nieodległe czasy, kiedy sukces z jakąkolwiek drużyną szkocką uznalibyśmy za wielkie wydarzenie. No i ta pewność omal nie została ukarana w pierwszych minutach szturmego go-

spodarzy, kiedy szczęściu i nieskuteczności piłkarzy Hiberniana Legionści zawdzięczali czyste konto.

Ale dojrzałość drużyny poznaje się właśnie po tym, jak daje się wysunąć przeciwnikom i potem z zimną krwią ich karki. Po raz kolejny pierwszoplanowym zawodnikiem Legii okazał się Jean-Pierre Nsame – człowiek, który ma tego lata nieprawdopodobne statystyki strzeleckie, a w Edynburgu pokazał, że i z karnego potrafi przyłożyć w okno, i ze szwajcarską precyzją zacentrować

prosto na nóżkę kolegi (dwukrotna korona króla strzelców ligi szwajcarskiej nie od parady). Jeszcze w lipcu ściągano na Łazienkowską w trybie pilnym Rajovicia za rekordowe pieniądze i dziś pluto by sobie w brodę za kolejny chybiony transfer (Duńczyk na razie głównie spektakularnie pudłuje), gdyby nie odrodzenie Kameruńczyka. Z wyśmiewanego za boiskową nieporadność i emerycką aparycję gracza na wylocie z klubu stał się absolutną gwiazdą i niezastąpionym egzekutorem.

Inna sprawa, że skłonność do kiksov w stuprocentowych sytuacjach wciąż jest przypadłością naszych ligowców i dotyka także jego, tyle że piłka na szczęście znajduje go tak często, że nawet marnując dwie z trzech setek, Nsame i tak strzela w każdym meczu. Gdyby nie haniebne pudło Wahana Biczachcziana, Legia miałaby już awans w kieszeni po pierwszym meczu. Gdyby nie cała seria haniebnych pudeł, Raków też wygrałby swój mecz znacznie wyżej z bułgarską Ardą. Trudno orzec, co bardziej irytuje – klasyczne częstochowskie meczenie buty z pierwszej połowy, gdzie za dominacją i kontrolą gry nie szły żadne klarowne sytuacje, a jedyne goła strzelił Tomasz Pieńko po słapstickowym nieporozumieniu bramkarza i stopera gości – czy kabaret ofensywny z połowy drugiej, gdy pod koniec meczu napastnicy Rakowa prześcigali się w nieudacznictwie. Wracający po

Jagiellonia tego lata spisuje się najlepiej z naszych pucharowiczów, wygrała pięć razy, a szóste zwycięstwo wypuściła z rąk.

kontuzji Ivi López narobił w 20 minut więcej szumu i oddał więcej strzałów niż wszyscy częstochowscy napastnicy razem wzięci, ale były to uderzenia niecelne lub blokowane. Nie zmienił nic nawet powrót sfochowanego Brunesa, do którego najwyraźniej dotarło, że choćby sobie na złość odmroził palce, z Częstochowy go w tym sezonie nie wypuszczą.

Skończyło się na wymęczonym 1:0, ale można się pocieszać, że to klasyczny Raków Papszuna, nie za styl ich oceniać należy, lecz za wyniki. ■

Kto opodatkuje miliarderów?

Francuski Senat wetuje projekt ustawy nakładający dwuprocentowy podatek na bogaczy

Sarah Bomba

Korespondencja z Francji

W Polsce po 1989 r. poruszanie tematu opodatkowania najbogatszych powoduje, że ustawodawcy nabierają wody w usta. Podobnie źle kojarzone są próby wprowadzenia dodatkowych progów podatkowych. Jednocześnie rośnie popularność polityków promujących radykalnie liberalne poglądy gospodarcze, zgodnie z którymi „państwo nie ma własnych pieniędzy”. Tymczasem sprawiedliwe opodatkowanie najbogatszych to nie tylko kwestia ekonomiczna, lecz także etyczna. Przykład Francji, gdzie Senat zablokował ostatnio projekt ustawy wprowadzającej dwuprocentowy podatek dochodowy dla najbogatszych obywateli, pozwala przyrzeć się standardom debaty podatkowej w krajach zachodnich.

W obliczu coraz bardziej liberalizującej się sceny politycznej w Europie oraz pogłębiających się nierówności społecznych kluczowe staje się uświadamianie społeczeństwu zagrożeń płynących z bezrefleksyjnego wspierania najbogatszych. W Polsce kontrowersje wywołują niedawne propozycje np. Władysława Kosiniaka-Kamysza, który chciałby uzależnić świadczenia socjalne od aktywności zawodowej rodziców. Określa on pomoc społeczną jako „zwieńczenie ambicji” – tym samym opowiada się za rozwiązaniami sprzyjającymi segregacji klasowej. Aby zrozumieć, do czego prowadzi neoliberalizm, warto spojrzeć na jego efekty na Zachodzie, chociażby we Francji, która zmaga się dziś z głębokim kryzysem gospodarczym.

Stopniowe obniżanie się poziomu życia Francuzów, niedofinansowane instytucje publiczne czy odpyły

turystów to odbicie obecnej sytuacji gospodarczej. Deficyt kraju sięga niemalże 6% rocznie, a dług publiczny wynosi 110% majątku narodowego. Od lat postuluje się zwiększenie opodatkowania najbogatszych, którzy sięgają po różnorakie formy optymalizacji podatkowej, co pozwala im zmniejszyć udział w zasilaniu budżetu kraju do minimum – nierzadko przy tym czerpią korzyści ze środków publicznych.

Na początek warto się pochylić nad realnym problemem omijania prawa przez najbogatszych.

Jak Bernard Arnault obchodzi system podatkowy

W pierwszej kolejności warto się przyrzeć różnym metodom optymalizacji fiskalnej, które miliarderzy stosują w celu maksymalizacji zysków. Przykładem funkcjonowania

Bernard Arnault w latach 2007-2017 zaoszczędził ok. 518 mln euro dzięki funkcjonowaniu Fundacji Louis Vuitton zajmującej się promocją sztuki współczesnej.

tych mechanizmów jest historia Bernarda Arnaulta – prezesa koncernu LVMH i przez lata najbogatszego człowieka na świecie (obecnie piąty w rankingu „Forbesa”). Bardzo skutecznie wykorzystuje on luki i przywileje oferowane przez systemy podatkowe, lokując np. swoje holdingi w krajach proponujących korzystniejsze warunki fiskalne (np. w Luksemburgu), co pozwala mu znacznie ograniczać obciążenia. Dodatkowo zakłada w rajach podatkowych spółki, które formalnie świadczą usługi dla firm zarejestrowanych we Francji. Pozwala to na transfer części zysków do państw o niskich lub zerowych podatkach

i choć tego rodzaju działania są na granicy legalności, Arnault do tej pory skutecznie unikał odpowiedzialności prawnej.

We Francji działa również wyjątkowo korzystne dla najbogatszych prawo spadkowe. Na mocy tzw. paktu Dutreila (mechanizm, który pozwala na częściowe zwolnienie z podatku od spadków i darowizn przy przekazywaniu firmy rodzinnej – przyp. red.) przedsiębiorcy mogą obniżyć podatek od spadku nawet o 75%. Choć pierwotnie instrument ten miał wspierać małe i średnie firmy rodzinne, w praktyce najczęściej korzystają z niego najbogatsi, ograniczając swoje zobowiązania wobec państwa kosztem reszty społeczeństwa.

Podobne mechanizmy występują w Polsce. Przykładem może być program Polski Ład, który w założeniu miał wspierać małych przedsiębiorców, w praktyce faworyzował duże

firmy z rozbudowanym zapleczem księgowym, pogłębiając dysproporcje rynkowe i utrudniając funkcjonowanie mikroprzedsiębiorstw.

Polityki „wspierające małych przedsiębiorców” są przedstawiane jako motor rozwoju krajowej gospodarki, ale w rzeczywistości to najczęściej korporacje czerpią z nich najwięcej, wykorzystując mechanizmy państwowej zachęty do dalszej monopolizacji kapitału i marginalizacji mniejszych graczy.

Wracając zaś do Bernarda Arnaulta, według danych francuskiego Trybunału Obrachunkowego (Cour des comptes) tylko w latach 2007-2017 zaoszczędził ok. 518 mln euro dzięki



Bernard Arnault proszący: „Opodatkujcie mnie”, „2% to dla nas nic”, „Proporcjonalnie płacę mniej niż pielęgniarza” – to hasła z demonstracji w trakcie senackiej debaty nad projektem ustawy o podatku dla miliarderów. Paryż, 12 czerwca 2025 r.

funkcjonowaniu Fundacji Louis Vuitton, zajmującej się promocją sztuki współczesnej. Od 2003 r. francuskie prawo pozwala firmom na odliczanie od podatków aż 60% wartości darowizn na cele kulturalne i publiczne. Oznacza to, że Arnault nie tylko unika płacenia podatków, ale tak naprawdę wykorzystuje mechanizmy państwowe do finansowania i powiększania swojej prywatnej kolekcji artystycznej.

Warto też wspomnieć, że zgodnie z francuskim prawem muzea publiczne są zobowiązane do zapewnienia bezpłatnego dostępu do kultury m.in. osobom poniżej 26. roku życia, nauczycielom, bezrobotnym, osobom z niepełnosprawnościami oraz korzystającym z zasiłków społecznych. Tymczasem Fundacja Louis Vuitton jako instytucja prywatna może te obowiązki omijać. W praktyce oznacza to wykluczanie mniej uprzywilejowanych grup społecznych z dostępu do sztuki, którą przecież współfinansuje państwo i która paradoksalnie służy wzbogacaniu się najzamożniejszych.

Mechanizmy te ukazują szerszy problem strukturalny: uprzywilejowani podatkowo miliarderzy nie tylko unikają odpowiedzialności fiskalnej, lecz także nierzadko przekształcają publiczne mechanizmy

wsparcia w narzędzia pomnażania prywatnego zysku. A państwo, zamiast wyrównywać szanse, staje się mimowolnym współnikiem w pogłębianiu nierówności.

Kto tak naprawdę finansuje politykę

Rozdawnictwo dla miliarderów ma również oblicze polityczne. Warto przyrzeć mu się bliżej. Darowizny na partie polityczne w znacznej mierze odzwierciedlają podziały klasowe: najbogatsi mają o wiele większy wpływ na politykę niż klasa średnia czy ludowa. Jak pokazują badania prof. Julii Cagé z Instytutu Nauk Politycznych w Paryżu, gdy najbiedniejsze 10% Francuzów przekazuje partiom średnio 10 eurocentów rocznie, najzamożniejsza grupa stanowiąca ledwie 0,01% daje im średnio 370 euro, a najbardziej wpływowi sponsorzy spośród tych drugich – 0,1% – wpłacają średnio 5245 euro rocznie. Co więcej, państwo zwraca część tych darowizn w formie ulgi podatkowej, z której korzystają praktycznie wyłącznie najbogatsi – średnio ok. 400 euro rocznie w przypadku osób z grupy 0,1%, podczas gdy większość obywateli nie otrzymuje takiej formy wsparcia. Oznacza to realne

subsydiowanie darowizn przez państwo tylko dla elity.

Także nierówność w dostępie do funduszy publicznych jest drastyczna: najbogatsza 0,1% obywateli korzysta średnio z 3,9 tys. euro rocznie per capita środków publicznych, podczas gdy na najuboższe 40% przypada zaledwie 73 euro, czyli 53 razy mniej! W efekcie na decyzje polityczne łatwo wpływają sponsorzy prywatni.

Tę zależność uwypukliło ostatnie odrzucenie we francuskim Senacie tzw. podatku Zucmana – projektu ustawy o równości podatkowej. Mimo że został on zatwierdzony przez Zgromadzenie Narodowe w lutym, Senat odrzucił go w głosowaniu w czerwcu 2025 r.

Czy dwuprocentowy podatek zmniejszy deficyt?

Projekt ustawy przygotowany na bazie analiz Gabriela Zucmana oraz Oliviera Blancharda i Jeana Pisaniego-Ferry’ego i zakładający wprowadzenie minimalnego podatku majątkowego w wysokości 2% rocznie dla najbogatszej 0,01% obywateli (których fortuna wynosi powyżej 100 mln euro) nie będzie dalej procedowany. Autorzy dokumentu

argumentowali, że obecny system sprzyja omijaniu opodatkowania przez miliarderów, podczas gdy klasa średnia ponosi proporcjonalnie wyższe obciążenia fiskalne. W ich ocenie proponowane rozwiązanie miało służyć przywróceniu równości wobec prawa podatkowego i zwiększeniu sprawiedliwości w finansowaniu państwa. Decyzja Senatu o odrzuceniu projektu pokazała, jak silne są interesy najzamożniejszych grup społecznych oraz jak trudna jest droga do zmiany systemu.

Należy podkreślić, że w przypadku opodatkowania najbogatszych mówi się o majątku faktycznym, o ich bogactwie materialnym, nie zaś o wartości spekulacyjnej ich akcji. W tym przypadku dwuprocentowy podatek dla osób najzamożniejszych wniósłby do budżetu państwa od 15 mld do 25 mld euro rocznie.

Projekt ustawy, wniesiony przez Zielonych, wzbudził entuzjazm nie tylko polityczny, lecz przede wszystkim społeczny. Aż 77% Francuzów opowiada się za powrotem do podatku od fortun („Taxe Zucman: pour en finir avec le privilège fiscal des ultrariches”, „L’Humanité” 10 lipca 2025), dlatego prawicowi politycy (popierani przez miliarderów) byli nieobecni podczas głosowania



nad ustawą – by zminimalizować gniew mniej zamożnych wyborców.

Ponadto od poprzednich wyborów wielki problem stanowi uchwalenie budżetu, który krytykuje zarówno lewa, jak i prawa strona. W tym roku przewidziano 40 mld euro oszczędności, aby poradzić sobie z narastającym kryzysem, jednak oszczędności wymaga się od tych obywateli i instytucji, które więcej oszczędzać już nie mogą. Niedofinansowane szkoły i uczelnie, brak

Aż 77% Francuzów opowiada się za powrotem do podatku od fortun.

funduszy na renty dla osób z niepełnosprawnościami czy klęska ochrony zdrowia to tylko nieliczne przykłady obszarów, które we Francji wymagają ogromnych nakładów. Tymczasem Bernard Arnault oburza się na sam pomysł zwiększenia podatku i grozi delokalizacją, choć już od dawna materiały na torebki Louis Vuitton nie są produkowane we Francji.

Mimo że ustawa przeszła w Zgromadzeniu Narodowym większością 116 głosów do 39, Senat zablokował dalsze prace nad nią. Głównym argumentem przeciwników nowego podatku jest obawa przed ucieczką najbogatszych obywateli z kraju. Jako przykład często przywołują sytuację z Wielkiej Brytanii, gdzie podobne rozwiązania miały rzekomo przyczynić się do emigracji ok. 4,4 tys. milionerów i utraty nawet 110 mld dol. przychodu („Le Figaro”). Podobne zjawisko zaobserwowano po wprowadzeniu bardziej rygorystycznego systemu podatkowego w Norwegii.

Podnoszona jest poza tym kwestia ograniczonej skuteczności takiego podatku w realnym zmniejszeniu deficytu budżetowego i długu publicznego. W pewnym sensie zarzut ten jest uzasadniony, ponieważ system kapitalistyczny opiera się na długu, generowanym w wyniku cyklicznych procesów gospodarczych. Wzrost gospodarczy jest zwykle napędzany przez łatwy dostęp do kredytu, co z czasem prowadzi do przegrzania

rynku i spowolnienia wynikającego z nadmiernego zadłużenia.

Erozja umowy społecznej

Francja w tych działaniach – czy w próbie ich podejmowania – nie jest osamotniona. Coraz więcej państw podejmuje konkretne kroki w celu opodatkowania najbogatszych. Podobne inicjatywy pojawiają się m.in. w Brazylii, Belgii czy Holandii. Projekt ustawy Zucmana zyskał poparcie siedmiorga noblistów z dziedziny ekonomii, w tym takich autorytetów jak Simon Johnson czy Daron Acemoğlu. Uчени podkreślają, że Francja powinna być prekursorem globalnej zmiany, która mogłaby zainspirować inne kraje do walki z rosnącą nierównością.

Coraz więcej danych pokazuje ścisły związek między koncentracją bogactwa a pogłębiającym się kryzysem demokracji oraz postępującą katastrofą klimatyczną. Tolerowanie nieproporcjonalnego wpływu najbogatszych na życie publiczne i normalizacja odmowy uczestnictwa w finansowaniu dobra wspólnego prowadzą do erozji umowy społecznej. Usprawiedliwianie nadmiernych przywilejów elit przez współczesną pravicę nie tylko osłabia solidarność społeczną, ale też wzmacnia przekonanie, że prawo i odpowiedzialność mają zastosowanie wyłącznie wobec reszty obywateli. To niebezpieczna ścieżka, prowadząca do moralnej bezkarności i całkowitego triumfu interesu jednostkowego nad wspólnotowym.

Te kontrasty w Europie są coraz wyraźniejsze. Podczas gdy w Polsce sukcesy wyborcze odnoszą kandydaci promujący populistyczne rozwiązania w stylu „PIT 0%”, Francuzi domagają się podniesienia podatków, gdyż mają świadomość, że to one zapewniają obywatelom bezpieczeństwo. Z jednej strony, patologie są zauważane, pojawia się coraz więcej głosów piętnujących nadużycia bogaczy, z drugiej nadal ignoruje się skalę nepotyzmu, kolesiostwa i oligarchizacji społeczeństwa, które, stojąc na straży „wartości chrześcijańskich”, ma w pogardzie dzielenie się z bliźnimi czy troskę o ubogich.

Sarah Bomba



Nie pluj, nie pij, nie hałasuj

Europa broni się przed masową turystyką

Zuzanna Muszyńska

Twój samolot właśnie wylądował w tureckiej Antalyi, już chcesz wsiąść i rozpocząć długo wyczekiwany urlop. Wyskakujesz z fotela, wyciągasz rzeczy ze schowka nad głową. W tym momencie namierza cię stewardesa i informuje, że zaraportuje cię jako pasażera zakłócającego lot. Zapłacisz co najmniej 62 euro za naruszenie nowej zasady: od tego roku na tureckich lotniskach odpięcie pasów bezpieczeństwa lub opuszczenie swojego miejsca, zanim maszyna przestanie kołować, grozi mandatem. Na Majorce i Ibizie kary za picie alkoholu w miejscu publicznym wynoszą do 3 tys. euro. Zamiast pływać w kanale weneckim za 350 euro kary, lepiej przepłynąć się gondolą, wyjdzie kilkakrotnie taniej. Muszla

z greckiej plaży zabrana do plecaka to kara do 1 tys. euro.

Na pierwszy rzut oka wprowadzanie surowych przepisów wydaje się kąsaniem ręki, która karmi, ponieważ wiele miejsc żyje z turystyki. Władze kurortów i popularnych miast twierdzą jednak, że chodzi o ochronę mieszkańców i odpowiedzialnych wczasowiczów.

Kary na urlopie

Tego lata Europa rozprawia się z niesfornymi urlopowiczami. Do 300 euro za kierowanie pojazdem (e-hulajnogą, samochodem) w klapkach lub bosy możemy zapłacić w Hiszpanii, Grecji, Francji, Portugalii i we Włoszech. Barcelona, Albufeira, Split, Sorrento, Cannes i Wenecja to miejsca, gdzie noszenie stroju kąpielowego z dala od plaży może

kosztować do 1,5 tys. euro. Dwukrotnie więcej wynoszą kary za picie alkoholu w miejscach publicznych na Balearach i Wyspach Kanaryjskich. Nawet małe wykroczenia, takie jak rezerwacja leżaka poprzez rzucenie nań ręcznika na czas przedłużającej się nieobecności, mogą skutkować wyrwą w wakacyjnym budżecie.

Surowy kodeks postępowania w przestrzeni publicznej został wprowadzony w tym roku w portugalskiej Albufeirze. Nie wolno tam pluć na chodnik, rozbijać namiotu w niedozwolonych miejscach, gotować ani spędzać nocy w miejscu publicznym, zakłócać miru, niszczyć ławek, używać wózków z supermarketu poza terenem dozwolonym i porzucać ich byle gdzie – kary za to wynoszą 150-750 euro. Za paradowanie nago lub akty seksualne w miejscu publicznym przyjdzie zapłacić od ▶

► 500 do 1,8 tys. euro, za strój plażowy poza plażą od 300 do 1,5 tys. euro. Tyle samo za picie alkoholu i oddawanie moczu na ulicy. „Przestań źle się zachowywać. Szanuj miejscowych. Kochaj Albufeire” – to hasło kampanii na rzecz odpowiedzialnej turystyki. Miejscowi potwierdzają, że nie dzieje się to na pokaz. Robert Allard, właściciel firmy Go2algarve, zauważa nowe kamery monitoringu i zwiększoną obecność policji w rejonach Albufeiry znanych z życia nocnego. „Niektórzy zostali ukarani grzywną, ale jednocześnie ludzie nie są świadomi nowych zasad, chociaż ulotki są dostępne w lobby hotelowym, a plakaty wiszą wszędzie”, podkreśla.

Zakazy dla turystów nie są niczym nowym. Po renowacji Schodów Hiszpańskich rada miasta w Rzymie uchwaliła w 2019 r. zakaz siadania na nich oraz jedzenia, a sąd administracyjny regionu Lacjum zatwierdził go w 2024 r. Obecnie kara za przycupnięcie na zabytkowych stopniach wynosi od 250 do

Majorce. „Turystyka nie może być ciężarem dla obywateli”.

Problemy ze zdjęciami

W Palazzo Maffei w Weronie stoi pokryte kryształami Swarovskiego krzesło Van Gogha autorstwa Nicoli Bolli. Dwoje niezadarnych turystów uszkodziło dzieło sztuki, pozując do zdjęć. Para fotografowała się wzajemnie, udając, że siedzą na kryształowym meblu. Kobiecie udało się przysiąść w powietrzu i nie dotknąć siedzenia. Mężczyzna nie był dość ostrożny, a mebel zapadł się pod jego ciężarem. Oboje uciekli w popłochu, co widać na nagraniu z kamer. Krzesło szybko naprawiono, ale muzeum zgłosiło sprawę policji. Nicola Bolla nie potępił jednoznacznie aktu wandalizmu, który przyniósł mu sławę w sieci.

O wiralowym nagraniu, mogącym przynieść dochód, marzył być może brytyjski turysta, któremu grozi 200 tys. euro grzywny za latanie dronem nad terenem festiwalu Virgin

usunęły ze swojej strony internetowej wszystkie zdjęcia zatoki, również te wykonane przez influencerów.

Miejscowi są zmęczeni

Zeszłoroczne protesty antyturystyczne w popularnych miejscach trafiły na pierwsze strony gazet. W tym sezonie napięcia wróciły. Tysiące ludzi protestowały m.in. na Wyspach Kanaryjskich. Kolejna fala protestów może nadejść w południowej Europie jeszcze w tym roku. Nie mija frustracja miejscowej ludności z powodu zatłoczonych miast, gwałtownie rosnących cen nieruchomości i złych zachowań przyjezdnych.

„Miejscowi są zmęczeni – komentuje nowe kary dla turystów Birgitta Spee-König, propagatorka odpowiedzialnej turystyki, cytowana przez portal BBC. – Te mandaty to sygnał, że społeczeństwo chce odzyskać swoją przestrzeń. To nie tak, że turyści są gorsi – chodzi o to, że wyczerpała się tolerancja. I warto pamiętać, że nie każdy mandat to reprimenda: niektóre są wołaniem o szacunek”.

Birgitta Spee-König uważa, że kary nie zmienią kultury podróżowania. To środek krótkoterminowy. Potrzeba lepszego zarządzania lokalnymi zasobami i współpracy opartej na przekonaniu, że „miejsca docelowe to domy, a nie place zabaw”.

Turystycznym placem zabaw stał się blok w pobliżu Plaza Mayor w centrum Madrytu. Sąd nakazał niedawno zamknięcie 10 mieszkań dla turystów ze względu na dobro mieszkańców budynku. W przełomowym orzeczeniu stwierdzono, że „nielegalne i niehigieniczne akty”, które miały miejsce w mieszkaniach, naruszały prawo do prywatności oraz zadawały szkody psychiczne rodzinie z sąsiedztwa. Para z dwójką dzieci odczuwała niepokój, stres, brak snu z powodu głośnych, pijackich zachowań gości, którzy dopuszczali się wandalizmu, wymiotowali i odbywali stosunki seksualne poza mieszkaniem. W pewnym momencie mieszkańcy zatrudnili prywatnego ochroniarza.

Do 300 euro za kierowanie pojazdem w klapkach lub bosą zapłacimy w Hiszpanii, Grecji, Francji, Portugalii i we Włoszech.

400 euro. Za kąpiel w fontannie di Trevi młody Nowozelandczyk zapłacił w lutym 500 euro. Już od 2008 r. nie wolno karmić gołębi na placu św. Marka w Wenecji. Kary urosły przez lata z 50 do 700 euro. Mandaty za noszenie szpilek na Akropolisie obowiązują od 2009 r. i wynoszą obecnie do 900 euro. Na sardyńskiej plaży Pelosa nie wolno używać ręcznika, który gromadzi piasek (zaleca się leżenie na macie); na plaży Rosa za wyniesienie w plecaku drogiego piasku o różowej barwie zapłacimy do 3,5 tys. euro. W Portugalii plażowiczom nie wolno używać przenośnych głośników – kara za granie głośnej muzyki może wynieść aż 36 tys. euro!

„Musimy działać z myślą o ochronie środowiska i starać się, żeby turystyka pozostawała w harmonii z naszym społeczeństwem”, mówił na początku roku Juan Antonio Amengual, burmistrz Calvii na

del Carmen w Puerto de la Cruz na Teneryfie. Dron namierzyli policjanci. Turysta przyznał się do braku licencji, ubezpieczenia oraz znajomości przepisów, nakazujących użytkownikom dronów zarejestrować się jako operatorzy, przejść szkolenie i wykupić polisę.

W maju br. „The Guardian” opisał walkę Balearów z tzw. turystyką selfie. Władze wycofały się ze współpracy z influencerami, których wykorzystywały do promowania wyznaczonych miejsc w mediach społecznościowych, przyznając, że turystyka selfie szkodzi najpiękniejszym lokalizacjom, często mało znanym. Akcja miała odciążyć najbardziej oblegane miejsca i skierować turystów w dalsze zakątki wysp. Osiągnięto skutek odwrotny. Caló des Moro, maleńka zatoczka na Majorce, która może pomieścić jednorazowo ok. 100 osób, została zalana tysiącami odwiedzających. Lokalne władze

Z 60 mieszkań tylko 15 służyło rezydentom, pozostałe wynajmowano turystom. Jeden taki lokal na wynajem mieścił się nad mieszkaniem powodów, drugi pod nim, kolejne w pobliżu sypialni. Rodzina zgłaszała sprawę policji, która po wykonaniu pomiaru poziomu hałasu ukarała właściciela mieszkań grzywną w wysokości 16 tys. euro. Taka suma to bagatela dla firmy zarządzającej lokalami i zarabiającej w jeden weekend nawet 150 tys. euro. Rodzina postanowiła zatem wynająć prawnika. Tym razem nie chodziło o brak licencji turystycznej, lecz o obniżenie jakości życia mieszkańców. Sąd usłyszał o ciągłym hałasie, niszczeniu klatki schodowej, windy, skrzynek pocztowych, o lobby zastawionym walizkami i wózkami pełnymi brudnych ręczników. Rodzinie przyznano 39 tys. euro odszkodowania.

Hiszpanię odwiedziło w zeszłym roku ok. 100 mln osób, w tym sezonie rekord może zostać pobity. W ciągu ostatniej dekady czynsze wzrosły o 80%. Rząd przy wsparciu Sądu Najwyższego nakazał Airbnb, firmie wynajmu krótkoterminowego, usunięcie ponad 65 tys. nielegalnych ofert nieruchomości. W samym Madrycie ponad 15 tys. mieszkań turystycznych działa bez licencji.

Dobry turysta, czyli kto

W obłożonej przez turystów Hiszpanii nie tylko zamyka się nielegalne przybytki Airbnb i ogranicza kampanie influencerów, przez które turyści zapętlniają dziewicze lokalizacje. Za pomocą inteligentnych technologii wyłapuje się też turystyczne wąskie gardła. Nowoczesna platforma cyfrowa monitoruje liczbę osób na plażach, a także jakość powietrza, temperaturę morza, pogodę, a nawet meduzy w wodzie. Informacje trafiają do aplikacji Smart Destinations, która pomaga organizatorom wypoczynku, jak i odwiedzającym w podejmowaniu decyzji, dokąd się udać.

W Szwajcarii legenda tenisa Roger Federer zachęca do podróżowania poza sezonem. Po niedawnej tragedii w Blatten (w maju br. fragment lodowca oderwał się od zbocza i spadł na wioskę, niszcząc ją w 90%)

jeszcze większy nacisk kładzie się na zrównoważoną turystykę i ochronę środowiska. Sezon narciarski jest coraz krótszy z powodu wyższych temperatur zimą, a lodowce coraz bardziej podatne na zawalenie, dlatego kampanie reklamowe pokazują, jak wygląda kraj poza sezonem narciarskim, i zachęcają do wędrówek po Alpach w innych terminach. Wyścigi narciarskie w całym kraju i sezonowe hotele pozostaną otwarte dłużej. Szwajcarzy jako naród śródłądowy mają dzięki transportowi publicznemu jedne z najbardziej dostępnych gór na świecie – po-

Na Majorce i Ibizie kary za picie alkoholu w miejscu publicznym wynoszą do 3 tys. euro.

ciągi górskie obsługują szczyty od ponad 150 lat. Strona internetowa Swisstainable oferuje 33% zniżki na transport publiczny przy rezerwacji certyfikowanego zrównoważonego hotelu należącego do sieci.

W Berlinie odpowiedzialnych turystów nagradza się bezpłatną wycieczką z przewodnikiem lub zniżką na wstęp do atrakcji w zamian za udział w sadzeniu drzew lub zbieraniu odpadów. Berlińscy influencerzy reklamują ekologiczne hotele i zrównoważone sklepy z pamiątkami. W stolicy Niemiec pod kątem turystów opracowuje się szlaki wokół hoteli w zgodzie z koncepcją 15-minutowego miasta: do wszystkiego, czego potrzeba podróżnemu, można dotrzeć w kwadrans pieszo lub rowerem, pomagając obniżyć ślad węglowy.

Turysta pasywny, turystyka regeneracyjna – to koncepcje dla tych, którzy chcą podróżować odpowiedzialnie. Według raportu Booking.com jest nas dużo – 84% turystów na całym świecie jest zainteresowanych planowaniem zrównoważonych podróży. Jednak, jak wynika z badania przeprowadzonego przez portal Trip.com, połowa podróżujących nie ma pewności, czym to się je. Raport Światowej Rady Podróży i Turystyki wykazał, że główną barierą w podejmowaniu odpowiedzialnych decyzji są koszty.

Pasywny turysta nie niszczy. Podróżujący w nurcie turystyki regeneracyjnej wywiera pozytywny wpływ na miejsce docelowe: weźmie udział w odbudowie siedlisk przyrodniczych, posprząta plażę (vide Fundacja Bałtyk 2.0, która oferuje zakwaterowanie, prowiant i atrakcje dla wolontariuszy od 16. roku życia w zamian za sprzątnięcie bałtyckich plaż), ale też oddali się z popularnych miejsc w godzinach szczytu, zwróci uwagę na zatrudnianie tubylczych przewodników – wszystko po to, by zmniejszyć presję na społeczności w odwiedzanych miejscach.

Dobry turysta to pracowity turysta – sprawdzi międzynarodowe certyfikaty (np. EarthCheck, Green Globe i Green Key) w hotelach, które reklamują się jako ekologiczne. Spróbuje znaleźć lot niskoemisyjny – Google Flights oferuje dane o średniej emisji dla każdej trasy, przydatny jest też CoolClimate Calculator z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Zweryfikuje wszystko, by nie paść ofiarą turystycznego greenwashingu (KLM, Air France, Lufthansa mają na koncie kary za wprowadzanie w błąd klientów poszukujących zrównoważonych usług). Zanim zdecyduje się na Airbnb, porówna ceny noclegów w hotelach i u prywatnych właścicieli. Nie da się mówić na płatność poza platformą – to jasny sygnał, że wynajmujący nie płaci lokalnych podatków.

Turysto, pomyśl również dwa razy, zanim polecisz na kraniec świata, by obejrzeć topnienie lodowców albo bielenie raf koralowych. Turystyki ostatniej szansy broni co prawda sam sir David Attenborough, mówiąc, że „ludzie nie będą chronić tego, czego nie znają”, czy jednak nasze łyż rozpacz na widok znikających cudów natury nie obeschną zbyt szybko, kiedy wrócimy z urlopu? Przecież sezon na podróże trwa na okrągło, niebawem pojedziemy gdzie indziej.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeklad.pl

Walczę o miejsce dla horroru

Za pomocą kina grozy można przemyścić wiele treści

Rozmawia Wojciech Tutaj

Dlaczego tradycja filmowego horroru w Polsce jest tak uboga?

– Wychowaliśmy się na kinie moralnego niepokoju. Jesteśmy dziećmi Wajdy, Zanussiego i Kieślowskiego. W Polsce przez lata tylko takie kino uznawano za „prawdziwe” i „wartościowe”. Gatunek, zwłaszcza horror, nie miał szans u nas się rozwinąć, bo w oczach wielu był sztuką niższego rzędu, niepoważnym wybrykiem dla mas. Warto jednak pamiętać, że na świecie horror długo miał podobny status. Nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie ta konwencja ma stuletnią tradycję, traktowano ją z przymrużeniem oka. Dziś to podejście się zmienia, ale mówimy o świeżym procesie.

Na dodatek horror jest bardzo trudny technicznie. Wymaga ogromnej świadomości filmowego języka: rytmu, kompozycji kadru, dźwięku, budowania napięcia. A oprócz tego – pracy z efektami praktycznymi, z CGI (obrazami generowanymi komputerowo – przyp. red.), z charakterystyczną specjalną, której nie uczy się w szkołach filmowych. Nie ma na to miejsca, budżetu ani zaplecza. I, co najważniejsze, studentom wpaja się, że mają być poważnymi artystami, mesjaszami kinematografii, a nie uprawiać gatunkowe „wygłupy”. Nie przesadzam ani nie ironizuję – to jest cytat z życia wzięty.

Czujesz, że sukcesy twoich horrorów mogą wpływać na powstanie następnych filmów grozy w Polsce? Zmienia się u nas klimat wokół kina gatunkowego?

– Po premierze „W lesie dziś nie zaśnie nikt” rzeczywiście coś drgnęło – pojawiło się więcej rozmów o horrorze. Ale nie oszukujmy się, wciąż brakuje zaufania. Producenci wolą zainwestować w komedię romantyczną albo w kolejny serial kryminalny, bo to się sprawdza. Horror jest ryzykowny, kosztowny i nadal traktowany z podejrzliwością. Co gorsza, bardzo często gatunek trzeba tłumaczyć – nie widzom, lecz producentom. Trzeba im wyjaśniać, że strach czy wzięta w nawias przemoc też mogą być nośnikami treści, a horror może być zabawny, co nie oznacza od razu kiczu czy żenady. Albo że można mówić o poważnych sprawach w nieoczywisty sposób, a kino gatunkowe nie jest żadnym kaprysem, tylko pełnoprawnym sposobem opowiadania.

Coś jednak się zmienia, i to dzięki widzom. Oni głosują, kupując bilety czy włączając dany film na platformie streamingowej. Rynek w końcu będzie musiał to zauważyć. I wcale nie sugeruję, żeby kręcić horrory zamiast komedii – w idealnym świecie można by robić i jedno, i drugie. Marzy mi się, aby kino gatunkowe przestało



BARTOSZ M. KOWALSKI

– reżyser filmowy, scenarzysta i montażysta

Bartosz M. Kowalski – (ur. w 1984 r.) absolwent szkół filmowych w Paryżu i Los Angeles. Zaczynał od kina dokumentalnego. Film „Moja Wola” przyniósł mu Srebrnego Lajkonika na Krakowskim Festiwalu Filmowym. Pełnometrażowy debiut fabularny „Plac zabaw” otrzymał nagrody w Gdyni, Koszalinie, Warszawie, Londynie i Melbourne. Później twórca zwrócił się w stronę horroru, realizując dwie części „W lesie dziś nie zaśnie nikt”, „Ostatnią wieczerzę” i „Ciszę nocną”. W kinach można oglądać jego nowy film „13 dni do wakacji”.

być w Polsce wyjątkiem, a stało się częścią filmowego krajobrazu.

Jak wyglądało przejście od debiutanckiego „Placu zabaw” – filmu arthouse’owego i festiwalowego – do mainstreamowego horroru?

– Zawsze chciałem zrobić horror. To było dla mnie naturalne i oczywiste. Dorastałem na filmach grozy i pisałem pierwsze scenariusze o wampirach, zanim jeszcze ktokolwiek dał mi kamerę do ręki. W praktyce realizacja filmu jest jednak efektem wielu zbiegów okoliczności. W Polsce nie da się zaplanować kariery filmowej według jakiegoś harmonogramu. Zawsze pracujesz równolegle nad kilkoma projektami i nie masz pojęcia, który ruszy jako pierwszy. To wieczna ruletka. „Cisza nocna” miała być moim drugim filmem, ale długo nie udawało się zdobyć na nią finansowania. Kiedy pojawiła się szansa, żeby nakręcić „W lesie dziś nie zaśnie nikt”, nie zastanawiałem się ani chwili. Wszedłem w to z pełnym przekonaniem, bo wiedziałem, że mogę zrobić pierwszy krok w kierunku kina gatunkowego, o którym od dawna marzyłem. Ale czy to było naturalne przejście? Raczej wymuszone przez realia.

Wykorzystujesz nowe konwencje w kolejnych filmach, zajmowałeś się już m.in. slasherem czy horrorem religijnym. W „13 dniach do wakacji” najbliżej ci do opowieści spod znaku home invasion, bo obserwujemy, jak ktoś napada na grupę nastolatków imprezujących w podmiejskim domu. Wybierając te gatunkowe ścieżki, kierujesz się swoimi fascynacjami, a może czymś innym?

– Nie siadam za każdym razem i nie mówię: „teraz zrobię slasher” lub „teraz zajmę się horrorem religijnym”. W rzeczywistości film zawsze stanowi zbiorowe przedsięwzięcie. Są producenci, nadawcy, partnerzy – każdy ma oczekiwania, wyobrażenia, czasem konkretne zamówienie. Próbuję przemycić swoje tematy, emocje i obsesje, ale poruszam się w pewnych ramach. Co nie znaczy, że robię rzeczy wbrew sobie. Wręcz przeciwnie. „13 dni do wakacji” nadal jest moim filmem, moim dzieckiem. I choć wybór konwencji

częściej wynika z rozmów, uwarunkowań i możliwości, a nie z autorskiego kaprysu, zawsze staram się wprowadzić do niej jakiś powiew świeżości.

W każdym twoim filmie kluczowa jest sceneria – las, klasztor, dom opieki, a teraz wielki, nowoczesny dom. Zaczynasz wymyślanie koncepcji artystycznej od konkretnego miejsca?

– Miejsce rzeczywiście odgrywa u mnie dużą rolę. Nie zawsze jest jednak punktem wyjścia. Czasem historia przychodzi jako pierwsza, a dopiero potem szukam dla niej najlepszego tła, które samo coś opowie, zbuduje klimat, stanie się emocjonalnym katalizatorem dla postaci. Często właśnie konkretna przestrzeń uruchamia naszą wyobraźnię. Jednocześnie od początku trzeba dostosować wszystkie pomysły do ram budżetowych.

W przypadku „13 dni do wakacji” dom faktycznie był jednym z pierwszych elementów układanki.

Mylenie tropów to element zabawy z widzem – napięcie bierze się z niewiedzy i z podważania naszych założeń.

Wiedziałem, że musi być zamkniętą przestrzenią, która z jednej strony daje złudzenie komfortu i bezpieczeństwa, a z drugiej bardzo szybko może się zamienić w pułapkę. I tak pojawił się pomysł na nowoczesny „smart home”, który w pewnym momencie staje się narzędziem opresji. Ale to nie jest film o technologii, tylko o relacjach, napięciach, niewypowiedzianych emocjach. W „Placu zabaw” tłem akcji był prowincjonalny krajobraz, który odbijał pustkę wewnętrzną bohaterów. W „Ciszy nocnej” chodziło o dom opieki, gdzie z pozoru nic się nie dzieje, a podskórnie kotłuje się tam dramat. Uważam, że scenografia w filmie to nie dekoracja. To osobny bohater.

Coraz trudniej zaskoczyć widza, który zna wiele schematów horroru. Zależy ci na tym, żeby pobawić się z oczekiwaniami publiczności? Jak to skutecznie robić, żeby nie przesadzić?

– Wiadomo, że wszystko już było. Staram się po prostu znaleźć jakieś luki w systemie, świeże rozwiązania w ramach konwencji, w której się poruszam. Nie ma na to jednak żadnej recepty. Jeśli robisz coś klasycznego, znajdą się osoby, którym to się spodoba, a inni powiedzą, że się powtarzasz. Jak wywracasz stolik, też podzielisz widownię. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby – w ramach dostępnych narzędzi – mówić swoim głosem. Jeśli uda się coś przemycić i zaskoczyć widza – świetnie. Ale nie za wszelką cenę.

Horror często diagnozują współczesne lęki. W „13 dniach do wakacji” chodzi m.in. o technologię i możliwości jej kontrolowania. Boisz się nowych technologii? Taki uniwersalny lęk jest w ogóle dobrym paliwem dla kina grozy?

– Nie jestem technofobem, nie mam wrażeń, że technologia to demon, który zaraz nas wszystkich pożre. Coraz trudniej jednak nad nią zapanować i łatwo się w niej

pogubić. W „13 dniach do wakacji” technologia jest bardziej narzędziem – pozwala zamknąć bohaterów w pułapce i podkręcić napięcie. W klasycznym horrorze „Halloween” zagrożenie nie pojawia się w ciemnym zaułku, ale na słonecznych, uporządkowanych przedmieściach, które miały być ostoją bezpieczeństwa. U mnie ten nowoczesny dom działa podobnie – z zewnątrz wszystko wygląda perfekcyjnie, ale to tylko fasada. W środku buzują napięcia, które w końcu muszą eksplodować. Zależność bohaterów od technologii można też czytać na bardziej symbolicznym poziomie. Wiąże się ona z lękiem przed utratą kontroli, przed czymś, co wymyka się spod nadzoru. Ale to tylko kontekst. Dla mnie najważniejsze są relacje i emocje – złość, rozczarowanie, niewyrażone pretensje. Technologia jest wyłącznie tłem uniwersalnych konfliktów.

Myślałeś o swoim filmie trochę jak o kryminale? W końcu ważną



13 dni do wakacji

► **częścią fabularnej układanki jest mylenie tropów co do tożsamości zabójcy.**

– Trochę tak, bo reguły thrillera i kryminału tutaj się przenikają. Jest trup, jest śledztwo (choć prowadzone przez bohaterów, a nie policję), są podejrzenia, fałszywe tropy i twist. Nie traktowałem jednak fabuły jako kryminału sensu stricto, tylko wykorzystałem go jako narzędzie. Mylenie tropów to przecież element zabawy

– wspólnie z kostiumografką i charakteryzatorką słuchamy ich pomysłów na fryzury, ubrania, dodatki. Dzięki temu czują, że współtworzą bohaterów, których grają.

Na przeciwnym biegunie leży „Cisza nocna”, przy której pracowałem z aktorami po osiemdziesiątce. Zastosowałem jednak tę samą zasadę. Pozwalałem im mówić własnym językiem, reagować intuicyjnie, wносить siebie do roli. Nieważne, czy

opowiadane uniwersalnym językiem. Nawet jeśli są zanurzone w naszej rzeczywistości, muszą być zrozumiałe i angażujące również dla widza, który nigdy nie odwiedził Polski.

A czego sam szukasz w horrorach jako widz i reżyser?

– Jako widz szukam w horrorze emocji – nie tylko strachu czy napięcia, ale też śmiechu. Uwielbiam, gdy film potrafi mnie zaskoczyć zmianą tonacji, bawi się konwencją, czasem wręcz zahacza o parodię. Horror może być poważny, ale i szalony, groteskowy, autoironiczny – obejmuje całe spektrum. Od strony reżyserskiej interesuje mnie przede wszystkim możliwość opowiadania o ważnych tematach w ramach konwencji. Horror jest narzędziem – pojemnym, różnorodnym, nieoczywistym. Można z jego pomocą przemycić wiele treści, jeśli robi się to uczciwie. Uczciwość jest dla mnie kluczowa – nie lubię, gdy kino grozy wstydzi się własnego języka lub udaje na siłę arthouse. Właśnie dlatego cały czas walczę o miejsce dla horroru w Polsce. Horroru czystego, pozbawionego kompleksów, świadomego swoich gatunkowych korzeni i reguł. Rozumianego nie jako dodatek do filmu artystycznego, lecz jako równoprawna forma opowiadania – wyrazista, emocjonalna, uniwersalna. Taka, która nie musi się tłumaczyć z dokonywanych wyborów, bo stoi na własnych nogach.

Wojciech Tutaj

Daję aktorom dużą swobodę – mogą improwizować, mówić po swojemu, wnieść na plan swój sposób bycia.

z widzem – napięcie bierze się z niewiedzy i z podważania naszych założeń. Klasyczne zagranie: jeśli każdy mógł zabić, każdy może zginąć. Nasz film stoi jednak finałowym twistem – od początku zamysł był taki, żeby cała historia nabrała nowego znaczenia w ostatnich minutach.

Znów portretujesz nastolatków na progu dorosłości. Jak dbasz o to, żeby oddać ich styl bycia, język, mentalność, które wyglądają dziś inaczej niż 15-20 lat temu?

– Daję aktorom dużą swobodę – mogą improwizować, mówić po swojemu, wnieść na plan swój sposób bycia. Zależy mi, aby postaci brzmiały autentycznie, więc nie trzymam się kurczowo każdego przecinka w scenariuszu. Aktorzy mają też wpływ na to, jak wyglądają

pracuje się z młodymi, czy z seniorami – jeśli mogą zachowywać się swobodnie i mają poczucie współautorstwa, od razu widać to w grze aktorskiej.

Tworząc horrory, myślisz o zagranicznej widowni, która zobaczy je w streamingu?

– Tak, przede wszystkim. Moje poprzednie filmy miały dobrą oglądalność poza Polską lub odbijały się echem na ważnych festiwalach – „Plac zabaw” w San Sebastián czy „Cisza nocna” w Sitges. „13 dni do wakacji” też pojawi się na ważnych międzynarodowych imprezach związanych z kinem gatunkowym, ale na razie to jeszcze nieoficjalna informacja. Zawsze mam więc z tyłu głowy widownię zagraniczną i dlatego staram się, żeby moje historie były

Okno w oko



Tomasz Jastrun

Hodowla potwora

Epidemia pesymizmu. I płyną rzeki goryczy. Rzesze ludzi o liberalnych i lewicowych poglądach dają wyraz rozgoryczeniu, że koalicja za słabo sobie radzi, kiepsko komunikuje, jest w defensywie. Że to wszystko źle się skończy. Już nie potrafię znaleźć optymisty. Czyli rządy Tuska to tylko mały przerywnik w rządach populistów? A Polacy znowu pokazują swoje prawdziwe, ciemne, obskuranckie oblicze. Kolejni bliscy mi i dalsi znajomi, a też cenieni nieznajomi, ogłaszają agresywnym tonem, że udają się na emigrację wewnętrzną, na znak protestu przestają komentować wydarzenia, wycofują się z aktywnego życia społecznego. Znak protestu przeciwko czemu? Przeciwno stanowi rzeczy? Mało twórczy, a nawet destrukcyjny ten protest. To unikanie bólu: jak będę z boku, nie będę czuć męki porażki, która wedle pesymistów jest nieunikniona.

Najkrócej o aferze KPO napisał bliski mi Waldek Kuczyński: „Nie ma żadnej afery KPO! Na razie jest medialny smród wypuszczony z Nowogrodzkiej, upowszechniany na rozkaz przez nomenklaturę PiS i Kurwizję PiS oraz powtarzany przez głupców. Nie ma afery! Może będzie kilka groszowych nadużyć, które zawsze się zdarzają. NIE MA AFERY KPO!!!!”. Ktoś inny sensownie napisał: „Afera KPO. Temat przewodni: jak z kilkunastu nie do końca trafionych dotacji zrobić opowieść o upadku państwa, zniszczeniu demokracji i moralnym rozkładzie całego rządu”.

Używać populizmu, grać populizmem, wyciskać z niego wszystkie soki – to świetnie potrafi prawica. Tak było też w Europie lat 30. XX w. Liberałowie i demokraci tego nie potrafili i chyba dobrze to o nas świadczy, uczono nas od dziecka, że podłości nie wolno zwalczać podłością, a kłamstwa kłamstwem, bo wtedy sami stajemy się podli. Czy to jednak nie odnosiło się do czasów, gdy nie było mediów społecznościowych? Mamy wiele wad i słabości, ale nie jesteśmy podli, źle nam się kłamie i dlatego będziemy przegrywać z populistami, wiemy o tym i ciemno widzimy przyszość.

Polaków i Żydów wiele łączy, nie tylko dawne sąsiedztwo, łączy nas potężna skłonność do autodestrukcji. Widać to teraz w Izraelu, widać w historii Żydów, a zaczyna być widoczne znowu w Polsce, jak wiele o tym mówi nasza przeszłość. Konstytucja 3 maja przyszła za

późno, obyśmy nie mówili, że wybory parlamentarne 15 października wygraliśmy za późno.

Mój syn Antek ma już 18 lat i zdał na politologię. Jest niestety symetrystą politycznym, młodszy 14-latek za to nie lubi imigrantów, szczególnie Ukraińców. Mogę więc w domu obserwować, jak rodzą się takie poglądy, a rodzą się one z chaosu i zgiełku TikToka, YouTube’a, X, z tego bałaganu, z krótkich, niepogłębionych obrazków i informacji. Wychowanie, to, co się mówi w domu, ma coraz mniejsze znaczenie, autorytetem jest wirówka sądów i informacji w sieci. A łudziliśmy się, że łatwość zdobywania informacji przyniesie nam więcej mądrości. Nic z tego. Gdyby nie internet i jego liczne odnogi, nigdy byśmy nie wiedzieli, ilu durniów jest na świecie. Wielu mieszka tuż obok.

Czyli rządy Tuska to tylko mały przerywnik w rządach populistów?

Wyrobiam sobie Europejską Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego, bo jedziemy przez Europę do Szwajcarii. Urzędniczka daje mi plastikową kartę ze słowami: „Jest ważna przez 20 lat”. Na szczęście nie uśmiecha się ironicznie. Mówię: „Zobaczymy, czy dożyję, w każdym razie to jest jakieś zobowiązanie”. Po czym szybko liczę: za 20 lat miałbym 95. Mam nadzieję, że nie zrobię takiego świństwa sobie i rodzinie.

Przed odjazdem przez kilka minut słuchałem – więcej nie dałem rady – oracji Nawrockiego na paradzie, oczekiwała nacjonalizmem i patosem. On już uwierzył, że jest jednocześnie Dmowskim i Mussolinim. Na naszych oczach rodzi się potwór. Przed wrześniem 1939 r. też z takim przytupem i brzękiem potrząsano szabelką.

Podróż samochodem do Nysy. Ależ to ładne, zadbane miasto, zdruzgotane przez wojnę, potem sztukowane i łatanie, ale teraz to się jakoś dobrze ułożyło. Jadę na festiwal poezji z dwójką poetów – to poeci ligi okręgowej, uprawiający turystykę poetycką. Kilkudziesięciu będzie na festiwalu, podróżują z miasta do miasta, z festiwalu na festiwal i sami to finansują, drukują tomiki własnym kosztem, niezliczone, wymieniają się nimi jak znaczkami, kochają się, kłóć, występują zbiorowo. A ja z nimi za pan brat, ale ja przecież odmienny, to poeci amatorzy, a ja zawodowiec, oni jednak pełni artystowskiej dumy, ja stary wyjadacz, a nie poeta turysta, proszę mnie nie mylić. Będę miał przecież duże osobne spotkanie, na którym oni będą słuchaczami. I tak podle się wywyższam. ■



MAGIA PRZESTRZENI

Obszary zagospodarowane wyobraźnią

Widok ogólny kompozycji nr 1
Wojciecha Fangora i Stanisława
Zamecznika „Studium przestrzeni”.

Daniel Wójtowicz

Czy w twórczych dokonaniach z przeszłości można poszukiwać wizji przyszłości? Pytanie to pojawia się na wystawie „Przestrzenie”, która odbywa się obecnie w warszawskiej Zachęcie. Ukazuje ona efekty poszukiwań grupy polskich artystów sprzed pół wieku zafascynowanych „pustką”, w której istniejemy, a która do dziś pozostaje zjawiskiem nieprzeniknionym. Opracowane przez nich instalacje, czyli „dzieła plastyczne złożone z wielu elementów w konkretnej przestrzeni”, są próbami otwierania oczu na jej naturę i magię.

Wystawę rozpoczyna wypełniająca całą salę kompozycja obrazów ulokowanych na stojakach w rozmaitej odległości i relacji wobec siebie. Stanowi ona rekonstrukcję zamysłu i wspólnego dzieła Wojciecha Fangora i Stanisława Zamecznika z 1958 r. pod tytułem „Studium przestrzeni”. Koncept ten nie spotkał się wówczas ze zrozumieniem. Przyjęto go, jak to oględnie określono, z dystansem. Nie był to pewnie jednak czas na „wgrzyzanie się” sztuki w to, czego pozornie nie ma. „Nie interesuje mnie zupełnie to, co dzieje się wewnątrz obrazów, ale jedynie to, co zachodzi pomiędzy nimi”, komentował tę pracę Fangor. W przedstawionym projekcie, zarówno wtedy, jak i teraz, widz może, a nawet powinien, wchodzić pomiędzy obrazy i, wczuwając się w ich wzajemne zależności, odbierać wydzźwięk tak naznaczonej przestrzeni. Ta zaś staje się obszarem spajania i porozumienia.

Instalacja Ewy Partum z 1970 r. (tu jako rekonstrukcja autorska) zbudowana jest z umieszczonych w częściach czarnej sali białych form plastycznych: półotwartego pudła, szczeliny czy wypukłej wstęgi. Formy te, oświetlone jaskrawym, bezbarwnym światłem, skrywają w sobie nadruki fragmentów poezji. Tytuł „Obszar zagospodarowany wyobraźnią” zdradza pogląd autorki na poetycką istotę przestrzeni, na jej nierozłączny związek z ludzkim umysłem. A w tej naszej przestrzeni urzeczywistniać i łączyć ze sobą możemy przedmioty i stany z pominięciem wszelkich praw fizyki. Za to w zgodzie z naturą poezji i sztuki.

Przestrzeń staje się ogarnięta i oznaczona, a my możemy jej nagle doświadczać jak konkretnego, chociaż nie ma ona przecież swojego materialnego bytu.

Na wystawie w Zachęcie można też do wnętrza przestrzeni wejść. Kolejne pokoje czy przedziały „Kompozycji przestrzenno-muzycznej nr 2” Teresy Kelm i Zygmunta Krauzego (rekonstrukcja autorska dzieła z 1970 r.) wypełniane są muzyką o różnym natężeniu oraz jaskrawym, różnokolorowym światłem. Czy należy je uznać za puste, czy też za całkowicie pełne? Tak czy owak, przestrzeń staje się w tych wnętrzach ogarnięta i oznaczona, a my sami możemy jej nagle doświadczać jak konkretnego, chociaż



Fragment „Kompozycji przestrzenno-muzycznej nr 2”
Teresy Kelm i Zygmunta Krauzego.



„Obszar zagospodarowany wyobraźnią” Ewy Partum.



„Environment w pulsującym świetle czerwonym i niebieskim” Zdzisława Jurkiewicza, 1969-1970.

nie ma ona przecież swojego materialnego bytu. To efekt siły sztuki. Wewnątrz „Kompozycji przestrzenno-muzycznej nr 2” przez chwilę i my specyficznie odczuwamy swoją przynależność do tego obszaru. Zrobiło to na mnie niemałe wrażenie, nie tylko dlatego, że w sztuce kolory są kwintesencją przekazu emocjonalnego. Również dlatego, że światło jest jedną z największych tajemnic naszego świata i łącznikiem z jego najgłębszymi zakamarkami. Wejście w światło jest zatem wejściem w stan niezwykły, a to możliwe jest tylko w przestrzeni.

Trudno uwierzyć, że tymi zagadnieniami nasi artyści zajmowali się już ponad 60 lat temu. Prezentowani byli wtedy w jednej z najciekawszych, jak się dziś uznaje, galerii sztuki w PRL – w Galerii Współczesnej działającej w latach 1965-1974 w Teatrze Wielkim. Ich dokonania chyba jednak za bardzo wybiegały poza granice ówczesnej polskiej mentalności, choćby i artystycznej.

Dziś znacznie lepiej niż 60 lat temu wiemy, że świat składa się głównie z przestrzeni, a ta wciąż nie jest nam znana. Mamy już jednak świadomość, że ta pozorna pustka wcale pusta nie jest, lecz kryje w sobie jakąś nieznaną

moc. I wypełniona jest nieskończenie wielkim strumieniem informacji i znaczeń, do odczytania których potrzebna jest jedynie odpowiednia wrażliwość odbiornika lub odbiorcy.

Zadaniem sztuki staje się – zdają się mówić artyści z Zachęty – uświadamianie nam ukrytych treści przestrzeni. Warto przy tym zauważyć, że termin environment (otoczenie) w odniesieniu do zainteresowania twórców powojennych zagadnieniem przestrzeni wyprzedzał o kilka dekad pojęcie instalacji artystycznej. Uważano, że tylko sztuka może przygotować człowieka do wyjścia poza schematy myślenia, w tym do głębszego zrozumienia i odkrycia tajemnic przestrzeni.

Pokazywane w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki prace takich artystów jak Dobosz, Fangor, Jurkiewicz, Kelm, Krauze, Partum, Pinińska-Bereś czy Zamecznik urastają do rangi ważnych form nowego, twórczego myślenia. Warto w nie wejść.

Wystawa „Przestrzenie”
Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki
do 21 września

31. Międzynarodowy Plenarowy Festiwal Jazz na Starówce EABS The Very Best

Z jazzowym latem na Starówce żegnamy się tym, co najlepsze w wykonaniu zespołu EABS – Electro-Acoustic Beat Sessions. To kwintet doceniany przez krytykę i słuchaczy, regularnie koncertujący w świecie. Związany jest z niezależną wytwórnią Astigmatic Records, a międzynarodowe uznanie zdobył dzięki albumom „Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)” oraz „Slavic Spirits”.

EABS od 2012 r. pracuje nad koncepcją „rekonstrukcji z dekonstrukcją”, redefiniuje często klasyki sprzed kilkudziesięciu lat, zderzając je z najnowszymi gatunkami współczesnej muzyki miejskiej. Tworzy w ten sposób zupełnie nową jakość i autorskie brzmienie. Czekają nas więc jedyna w swoim rodzaju podróż dźwiękowa – od jazzu inspirowanego Komeda, przez słowiańską melancholię, po odważne kosmiczne eksperymenty. (ap)



Więcej na: www.jazznastarowce.pl,
www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 30 sierpnia, godz. 19

NA EKRANACH

Życie Chucka, reż. Mike Flanagan

Ekranizowanie Stephena Kinga to dla filmowców zawsze twarde orzechy do zgryzienia, a już szczególnie w przypadku opowiadań. „Życie Chucka”, oparte na krótkiej historii o tym samym tytule (którą można znaleźć w rewelacyjnym zbiorze „Jest krew...”), to rzecz, o której najlepiej nie pisać. Wielopoziomowa fabuła (w roli głównej Tom Hiddleston), różne perspektywy i nieliniarna narracja powodują, że prawdopodobnie każdy potencjalny spoiler wpłynie na odbiór dramatu. W końcu śledzenie tej opowieści jest niczym obieranie cebuli – każda warstwa to coś innego. Zresztą to nie jest adaptacja dla każdego – ci, którzy czytali opowiadanie, raczej nie znajdą tu nic dla siebie. Cała reszta powinna poczuć się jak w domu – film powoli wszystko objaśnia, stając się rzeczą o życiu w zgodzie z zasadą carpe diem. W kinie dawno nie mieliśmy tak ludzkiego i humanistycznego science fiction. A Stephena Kinga nigdy za wiele. Przekonajcie się sami.

Jan Tracz



BYLIŚMY

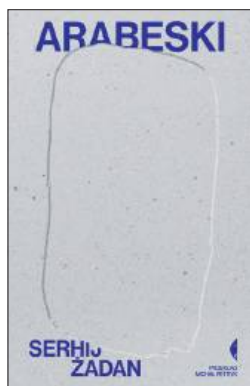
Symfonia jako desygnat walki

W kluczowym momencie dla ukraińskiej walki o suwerenność i tożsamość kulturową odbywa się już czwarta trasa koncertowa Ukrainian Freedom Orchestra. Zespół złożony z najlepszych muzyków kraju powstał przy udziale polsko-amerykańskim, a kieruje nim wybitna kapelmistrzyni kanadyjsko-ukraińska Keri-Lynn Wilson. Po Warszawie orkiestra zaprezentuje swój program złożony z muzyki Maksima Kolomietsa, Richarda Wagnera oraz Ludwiga van Beethovena we Wrocławiu, Lucernie, Wilnie, Jurmale, Bukareszcie, Amsterdamie i Londynie. Dzieło Beethovena zwane „Symfonią losu” już w przeszłości podtrzymywało ducha bombardowanego kraju.

Bronisław Tumitowicz



MIĘDZY OKŁADKAMI



Serhij Żadan Arabeski

tłum. Michał Petryk
Czarne, Wołowiec 2025

To nie są opowiadania o wojnie, raczej o tym, co z niej zostaje – w ciałach, w pamięci, w kuchniach i sypialniach. Żadan pisze nie o froncie, ale o życiu tuż obok – o tych, którzy próbują jeszcze coś poczuć, zanim znowu trzeba będzie wracać tam, gdzie się umiera. Kobieta i mężczyzna spotykają się w hotelu, ale nie mogą się porozebrać

z mundurów – nawet jeśli te są tylko w wyobraźni. W cerkwi nad trumną stają dwie kobiety – żona i ta druga – a między nimi cała prawda o wojnie i mężczyznach, którzy do niej należą bardziej niż do swoich rodzin. Dzieci, które przestały prosić. Matki, które nie potrafią rozmawiać z córkami. Nauczyciel, który kasuje z telefonu zmarłych przyjaciół. „Arabeski” to literatura, która nie krzyczy. Życie się w nich nie dzieje – ono przecieka przez palce.

Rafał Piłkuła

Kolumnę przygotowała
Agata Gogońkiewicz

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wyjechali

Kilka dni z córką i zięciem; przyjeżdżają raz do roku na kilkudniowe wakacje do Polski i wtedy mam jedyną już raczej okazję do więcej niż incydentalnego przebywania z zetkami. I całe szczęście, bo nawet jeśli przy sporej dozie wysiłku mogę się z 20-latkami dogadać, to niestety nijak nie mogę z nimi podowcipkować, albowiem wychowanie w opresji poprawnościowej sprawiło, że w ogóle boją się śmiać, żeby kogoś nie urazić. A mnie się zbiera na żarty nieustannie, nie daję rady na serio, improwizowany wic to mój narkotyk. Nie mógłbym dzisiaj pracować na uniwersytecie (na szczęście dwie dekady wstecz przerwałem studia doktoranckie, zachciało mi się być sławnym pisarzem), bo zaimkami bym się nie przejmował, a i o tym, że uczę osoby studenckie, pewnie bym nie pamiętał, tylko gadał tu i ówdzie, jacy to zdolni są „moi studenci”.

Zetki dokonują czegoś w rodzaju permanentnego self-cancelingu, nawet jeśli im przyjdzie do głowy coś występnego, raczej zduszą pomysł w zarodku, żeby się nie narazić, są perfekcyjnie zideologizowane i równie nieznosne jak ich doskonałe przeciwieństwo – prząsny wuj z wesela, co to sypie koszarowymi dowcipami i sam z nich rechocze, zanim skończy je opowiadać.

Zabrałem ich na wycieczkę północnym zboczem Królowej Beskidów, wrócili zadowoleni, ale przepoceni, wpakowałem im rzeczy do pralki i ustawiłem optymalny program; po z górą godzinie, zamiast wyjąć pranie, włączyli pralkę raz jeszcze – zażartowałem: „Hej, puściliście drugi raz, bo przegapiliście najciekawsze momenty?“, córka odpowiedziała mi z kamienną twarzą: „To było za krótko, my pierzemy dłużej”. Kiedy zalali łazienkę po kostki, biorąc w wannie prysznic na stojąco (nie mam kabiny ani zastony), gwizdnąłem z podziwem i powiedziałem już raczej sam do siebie, że chyba czas zacząć budować arkę, na co się obrazili, choć przecież gdybym powiedział: „Kochani, czy moglibyście wytrzeć po sobie podłogę?“, byłoby nudno i jakoś tak kostycznie – no, tylko że aluzyjność i ironiczność to wedle nich przemoc psychiczna.

Tak oto niepostrzeżenie odnalazłem się w roli zrzedzającego ojca, łatwo przyszło; pewnie sam byłem o wiele bardziej nieznośny i niesprawiedliwy wobec swojego starego – dzisiaj spoglądam na to z tej drugiej strony i rozumiem jego frustracje. Niestety, mój stary nie był ironiczny, miał krótki lont i nie trzymał emocji na wodzy, w dodatku starał się mnie wychowywać jeszcze w czasach normatywności przemocy domowej – swoją krzywdę spisał w prawdziwie zmyślnym „Gnoju” i choć po latach złagodziłem postać ojca „Spiskami”, mam niejakie

wyrzuty sumienia, że trochę zanadto się nad tym moim nieszczęsnym tatą popastwiłem.

Czy ta pokoleniowa sztafeta rozczarowań jest nieunikniona? Mam, zdaje się, zdrowe podejście do ojcostwa – kochałem swoje dzieciaki, nie oczekując niczego w zamian, kiedy dorosną – raczej przygotowałem się na to, że jako dorośle mogą nie mieć czasu ani ochoty podtrzymywać ze mną relacji. Choć starałem się jak mogłem nie popełniać błędów moich własnych rodziców i zdaje mi się, że dzieciństwo miały ciekawe i w miarę szczęśliwe – wiem, że mogą pamiętać to zupełnie inaczej, mogą wypominać chwile, w których czuły się zranione, i zgłaszać niegasnące pretensje w sprawach, o których nie pamiętam, lub takich, które zdały mi się błahe. Cieszę się teraz każdym dniem spędzonym z 10-letnim Antkiem, kocham go bezgranicznie, zarówno kiedy wścieka się i awanturuje, jak i wtedy, gdy słodkim głosem popularyzuje twórczość babci Osieckiej na sphywie kajakowym – ale wiem, że już za kilka lat będzie zbuntowanym młodzieńcem, skończy się czas pluszowych przytulank

Nie daję rady na serio, improwizowany wic to mój narkotyk.

i buziaków na dobranoc i znacznie symboliczne ojcostwo, czas deziluzji i deprecjacji, i to on będzie wtedy w głowie układał swój własny „Gnój”, którym może mnie kiedyś zaskoczy. Ale nie zdruzgocze, bo choć spodziewam się najlepszego, jestem przygotowany na najgorsze – dzieci nie są od spełniania naszych ambicji, nie są też od przynoszenia szklanki wody na starość, nie mają obowiązku nas kochać ani żyć wedle naszych reguł.

Obserwuję córkę i zięcia, udało się jej go zdominować do tego stopnia, że kiedy pytam go w samochodzie, jakiej muzyki słucha, Zosia odpowiada, zanim on zdąży otworzyć usta: „Dominik słucha tego, co ja” – i dalej sama układa playlistę naszej podróży.

Opowiadam im dowcip o kolejce pantoflarzy, którzy u bram nieba patrzą z zazdrością na jedynego faceta ustawionego w kolejce dla tych, którzy pod pantoflem nie żyli. „Jak ci się udało to zrobić?”, pytają. „Żona kazała mi tutaj stanąć”. Córka i zięć nie śmieją się, ale przynajmniej nie są obrażeni, udają, że nie usłyszeli. Jestem dla nich starym, nieszkodliwym durniem i dochodzę do wniosku, że właściwie o tym całe życie marzyłem, jak Kaczyński o tym, żeby być emerytowanym zbawcą ojczyzny. Kiedy wyjadą, i tak będę za nimi tęsknił.

Stefan Niesiołowski

Potoki i strumienie to stosunkowo niewielkie ciek wodne, a żyjące w nich organizmy są przedmiotem zainteresowania hydrobiologii, czyli biologii organizmów wodnych. Potoki charakteryzują się niedużymi rozmiarami, co odróżnia je od rzek (jak prawie zawsze w podziałach i klasyfikacjach w przyrodzie granice są tu płynne i nieostre), i dość silnym związkiem ze środowiskami przylegającymi, czyli linią brzegową. Generalnie są to środowiska bardzo zróżnicowane, o wielkim urozmaiceniu warunków życia i, co za tym idzie, różnorodności gatunków. Głębokość potoków waha się od kilku centymetrów do kilku metrów, szczególnie głębsze są w zastoiskach, znajdujących się najczęściej w rejonach brzegowych. Bardzo zmienna jest też szybkość prądu, od paru centymetrów do kilku metrów na sekundę w wodospadach i rejonach górskich. O zróżnicowaniu mówimy też w przypadku podłoża, które często w decydującym stopniu wpływa na charakter roślin i zwierząt zasiedlających potok.

W potokach nizinnych rozwija się roślinność naczyniowa, w mniejszych ilościach glony, a także plankton (drobne organizmy unoszące się w wodzie) i pleuston (organizmy związane z błoną powierzchniową wody), np. rzęsa lub lśniące, granatowe chrząszcze krętakowate (*Gyrinidae*, *Coleoptera*), tańczące na powierzchni wody i zataczające elipsowate kręgi, oraz ślizgające się na powierzchni wody pluskwiaki nartniki (*Heteroptera*). Ponadto peryfiton, czyli organizmy przyczepiające się do podłoża, np. gąbki, mszywioty (*Bryozoa*), wiele owadów, bentos – organizmy związane z dnem, i nekton, czyli organizmy poruszające się w toni wodnej, przede wszystkim ryby (pstrągi, lipienie, babki).

W potokach górskich, zwłaszcza wyróżniających się silnym, turbulentnym prądem, praktycznie brakuje planktonu, formacji typowej dla wód stojących lub wolno płynących, i oczywiście pleuston z uwagi na burzliwą, niestabilną powierzchnię wody.



ŻYCIE W POTOKACH

NICIENIE, SKĄPOSZCZETY, SKORUPIAKI, PIJAWKI I INNE

Istotną rolę w obiegu materii i kształtowaniu życia w potokach odgrywa detrytus, czyli szczątki organiczne, głównie roślinne, pochodzenia zarówno autochtonicznego, czyli z danego potoku, jak i allochtonicznego, czyli z zewnątrz, najczęściej z okolicznych łąk i lasów.

Detrytus stanowi często podstawowy składnik pokarmu wielu grup zwierząt, zwłaszcza owadów (muchówki, jętki, widelnice), skorupiaków i skąposzczetów, a także składnik środowiska życia i rozwoju. Niebagatelną rolę w odżywianiu wielu bezkręgowców odgrywa również seston, czyli zawiesina organiczna unoszona z prądem wody, wychwytywana przez przystosowane do tego organizmy dysponujące specjalnymi aparatami filtrującymi, np. meszki (*Simuliidae*), ochotkowate (*Chironomidae*) i kuczmany (*Ceratopogonidae*).

Potoki mniejsze i wolniej płynące w znacznie większym stopniu, co zrozumiałe, korzystają z substancji allochtonicznej. Najczęściej tego rodzaju potoki to małe, śródleśne ciek

o brunatnej barwie. Powoduje ją duża ilość próchnicy i substancji pochodzącej z rozkładu opadających liści. Woda w tego rodzaju zbiornikach jest silnie zakwaszona i dość uboga w gatunki. Dominują tam detrytusofagiczne muchówki i polujące na nie owady, szczególnie ważki, pluskwiaki oraz chrząszcze.

Pewną odrębną kategorię stanowią potoki wysokogórskie, wyróżniające się bardzo szybkim prądem, kamienistym, a czasami skalnym podłożem i brakiem roślinności albo jej znaczną redukcją (są to przede wszystkim nitkowate glony przyczepione do kamieni). W tego typu potokach występuje fauna reofilna, czyli charakterystyczna dla szybkich prądów wodnych. To chociażby larwy meszek, mające specjalne przysawki o skomplikowanej budowie na końcu odwłoka, i poczwarki tych owadów przyklejone kleistą wydzieliną do kamieni, pijawki z dużymi i mocnymi przysawkami, larwy i poczwarki chruścików (*Trichoptera*), których domki obciążone są większymi kamykami, co utrudnia



należących do bentosu, czyli fauny dennej. Są to owady, głównie muchówki, a także nicianie, skąposzczety, mięczaki, skorupiaki i pijawki.

Natomiast wyłącznie w rwących potokach i wodospadach żyją i rozwijają się wodne stadia rozwojowe muchówek mikozkowatych (*Blephariceridae*, *Diptera*), niewielkich, podobnych do komarów owadów typowych dla tych skrajnie lotycznych środowisk (wody lotyczne to wody płynące, z wyraźnie zaznaczonym prądem, np. strumienie i rzeki – przyp. red.). W toku ewolucji wykształciły

zmiennością fauny wraz z obniżaniem się wysokości, na której dany potok się znajduje. Na wysokości ponad 2000 m n.p.m. w Tatrach żyją inne gatunki owadów niż na wysokości 1000 m n.p.m., a jeszcze inne gatunki żyją w rejonach podgórskich i leśnych. Interesujące jest zjawisko występowania gatunków górskich również w rejonach znacznie oddalonych od gór. Na przykład na Kaszubach w wartkich potokach okolic Białogóry i w Bychowskiej Strudze żyją występujące w Karpatach gatunki *Wiedemannia insularis*, *Wiedemannia bohemani*

Potoki, zwłaszcza wysokogórskie, są bogatymi i złożonymi środowiskami życia, dlatego zasługują na ochronę.



W rwących potokach i wodospadach żyją wodne stadia rozwojowe muchówek mikozkowatych (*Blephariceridae*, *Diptera*), niewielkich owadów podobnych do komarów.

ich porwanie przez prąd wodny. A także spłaszczone, duże larwy widelnic (*Plecoptera*), które przyczepiają się do podłoża specjalnymi pazurkami, i mocno przytwierdzające się do płaskich powierzchni ślimaki.

Typowe dla górskich potoków są też larwy muchówek ochotkowatych, kobyliczkowatych (*Rhagionidae*) oraz wielu gatunków jętek. W żwirze, piasku czy kamieniach leżących na dnie oraz w przybrzeżnych warstwach mułu żyje bardzo wiele gatunków

one kilka dużych przyssawek umieszczonych na brzusznej stronie ciała larwy, co powoduje, że nawet najsilniejszy prąd wodny nie jest w stanie oderwać ich od podłoża. To środowisko skrajnie trudne do życia i rozwoju i niezasiedlane w zasadzie przez żadne inne organizmy – wobec czego brakuje tam drapieżników; dla przystosowanych wyspecjalizowanych gatunków jest to akurat korzystne.

Odrębnym zespołem występującym w różnego typu strumieniach jest peryfiton, czyli organizmy porastające substraty znajdujące się pod wodą: rośliny, kamienie, gałęzie, konary, a także konstrukcje budowane przez ludzi. Jest to zespół bardzo zróżnicowany – w odniesieniu do zwierząt związanych z roślinami

często stosuje się określenie fauna naroślinna – i bardzo bogaty w różne grupy systematyczne. Do peryfitonu należą kuczmany (*Ceratopogonidae*, *Diptera*), ochotkowate, ślimaki, pijawki, gąbki, stłubiopławy, pijawki, wodopójki, ważki, jętki i widelnice. To środowisko jest często zasiedlane przez gatunki pływające, czyli nekton, np. pluskwiaki oraz chrząszcze.

Potoki górskie charakteryzują się krótkimi odcinkami zasiedlanymi przez poszczególne gatunki i dużą

Clinocera wesmaeli (*Clinocerinae*, *Empididae*) oraz *Chelifera subangusta* (*Hemerodromiinae*, *Empididae*); w Górach Świętokrzyskich obok gatunków typowo nizinnych występują gatunki podgórskie i górskie *C. wesmaeli* i *Chelifera trapezina* (*Hemerodromiinae*, *Empididae*).

Fauna wysokogórska jest najprawdopodobniej, przynajmniej w odniesieniu do niektórych gatunków, reliktem polodowcowym, to znaczy pozostałością okresu, gdy cały obszar Polski pokrywał lodowiec, zasiedlany wówczas przez gatunki, które obecnie pozostały tylko w wysokich górach, gdzie warunki zasadniczo się nie zmieniły. Nie jest jasna obecność gatunków typowych dla górskich potoków w wartkich potokach na Kaszubach oraz w innych tego typu rejonach. Na Suwalszczyźnie żyje chociażby podgórski gatunek *Wiedemannia bistigma*. Być może są to także gatunki reliktowe. Interesujące wydaje się zjawisko lotów kompensacyjnych, zapobiegających znoszeniu i wyflukiwaniu fauny przez nurt wodny. Owady, które są znoszone z biegiem potoku w ciągu ich życia, po wykluciu się z poczwarki odlatują w górę strumienia, co zapobiega ich przenoszeniu i zmianie warunków życia dla następnych generacji.

Potoki są istotnym elementem związanym z bilansem wodnym, na który składają się rejonu źródłiskowe, bagna, torfowiska, rzeki, stawy ▶

► i jeziora. Cały ten system jest coraz bardziej zagrożony, co wiąże się ze stałym obniżaniem poziomu wody gruntowej. Wynika to z likwidacji tzw. małej retencji, obniżania poziomu wód, osuszania bagien, melioracji, prostowania rzek i potoków. Prawie zawsze działania te okazują się niepotrzebne, prowadzą do likwidacji wielu siedlisk i środowisk życia mnóstwa gatunków roślin i zwierząt. Tereny

są materiałem skalnym i innymi elementami niesionymi przez wodę. Sposób drugi prowadzi do skrócenia koryta, wyprostowania go i przyśpieszenia odpływu wody. Zmienia to warunki życia, charakter cieków i powoduje wiele niekorzystnych zmian w przyrodzie.

Bardzo często odwadnianie czy tego typu działania nie są konsultowane z przyrodnikami i prowadzą do

z wielu trudnych do wyjaśnienia przypadków ekspansji gatunkowej, dotyczącej oczywiście nie tylko organizmów związanych ze środowiskiem wodnym. Bobry generalnie przyczyniają się do poprawy bilansu wodnego, zwiększają retencję, czyli zatrzymywanie wody, poprzez budowanie tam i żeremi – miejsc życia i rozmnażania. Czasami są niesłusznie oskarżane o niszczenie wałów ziemnych, tam i grobli oraz utrudnianie życia ludziom. Takie przypadki, jeśli mają miejsce, są najczęściej efektem drażenia nor i kanałów przez inny, niespokrewniony z bobrem gatunek gryzonia – mowa o piżmaku (*Ondatra zibethicus*), który pochodzi z Ameryki Łacińskiej. Na początku XX w. uciekł z hodowli w Czechach i w ciągu 100 lat skolonizował większą część Europy, w tym Polskę.

Potoki, zwłaszcza wysokogórskie, ale także wszystkie inne, są bogatymi, bardzo złożonymi i pod wieloma względami ciągle słabo poznanymi środowiskami życia, zasługującymi na ochronę.

Stefan Niesiołowski

Interesujące jest zjawisko występowania gatunków górskich w rejonach znacznie oddalonych od gór.

bagniste i podmokłe stanowią zasoby żywej przyrody, utrzymują wyższy poziom wód gruntowych i większą wilgotność powietrza na terenach przyległych.

Potoki poddawane są regulacji. Najczęściej stosuje się jej dwa rodzaje – tworzenie progów oraz prostowanie, niekiedy połączone z betonowaniem koryta. Sposób pierwszy powoduje spowolnienie odpływu, ale nietrwale, bo powstałe oczka wodne szybko zapełniają

wyniszczenia środowiska życia, likwidacji siedlisk wielu gatunków, ogólnego osuszenia i zubożenia środowiska. W zwiększaniu retencji wody istotne znaczenie ma też zalesienie i zadrzewienie terenów. Kwestie te nie wymagają uzasadnienia, są dość oczywiste.

W Polsce i kilku innych krajach europejskich mamy do czynienia z ekspansją bobrów, gatunku, który jeszcze kilkadziesiąt lat temu był zagrożony i skrajnie rzadki. To jeden

KSIAŻKI

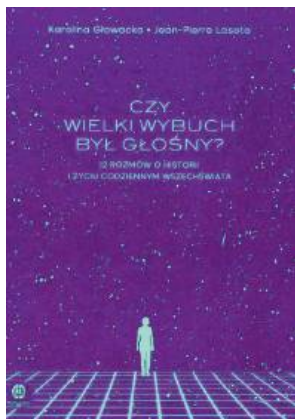
Karolina Głowacka, Jean-Pierre Lasota

Czy Wielki Wybuch był głośny?

12 rozmów o historii i życiu codziennym

Wszechświata

Wydawnictwo RN, Warszawa 2024



Rozmowy dziennikarki naukowej z profesorem astrofizyki o wielu aspektach istnienia Kosmosu, takich jak jego ewolucja, budowa, czarne dziury, ciemna energia i materia, oraz o tym, jak naukowcy prowadzą badania i zadają pytania. Pytania o Wszechświat są o tyle ważne, że jest on naszym naturalnym środowiskiem, i to – jak podkreśla ks. prof. Michał Heller –

środowiskiem w jakimś głębszym znaczeniu, ponieważ to, co zwykle nazywamy naszym środowiskiem, nie powstałoby i nie mogłoby nas wydać, gdyby nie było odpowiednio wtopione w Całość.

Magdalena Milert

Dla kogo jest miasto?

Jak stworzyć przestrzeń, która o nas dba

Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2025



Architektka i urbanistka z wieloletnim doświadczeniem analizuje problemy polskich miast i prezentuje rozwiązania mogące uzdrowić naszą przestrzeń. Przedstawia najnowsze badania, własne obserwacje oraz innowacje, które zmieniły na lepsze życie mieszkańców Barcelony czy Waszyngtonu. Proponuje wizję miasta otaczającego opieką wszystkich mieszkańców – nie tylko silnych, sprawnych i głośno deklarujących swoje potrzeby, ale i tych, którym obecnie stosowane rozwiązania utrudniają, a niekiedy nawet uniemożliwiają uczestniczenie w życiu społeczności. W takim mieście każdy będzie czuł się mile widziany i otoczony opieką.

(es)

JACEK PAŁKIEWICZ

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY

UWIELBIAM WENECJĘ



Mieszkając o godzinę drogi od Wenecji mogłem tam bywać co i raz. A dlaczego? Bo jestem wielkim admiratorem miasta na wodzie i podzielam opinie o nim licznych znanych postaci. Tomasz Mann w 1912 r. widział „miasto na pół bajkę, na pół turystyczną pułapkę”. Friedrich Nietzsche pisał: „Gdy szukam synonimu muzyki, znajduję jedynie słowo Wenecja”. Pisarz Truman Capote zauważył: „Być tam, to jakby zjeść całe pudełko czekoladek z likierem naraz”. Zachwycali się nią Jean-Jacques Rousseau i Francesco Petrarca. Natchnienie czerpali tu Richard Wagner, Wolfgang Amadeusz Mozart, a z Polaków Maria Konopnicka, Stanisław Wyspiański, Stefan Żeromski czy Józef Ignacy Kraszewski.

Często słyszę głosy, że „Królowa Adriatyku” umiera i jej zagłada jest nieunikniona. Tak, jej zmierzch zapowiadano już w XIX w. Honoriusz Balzak postrzegał Wenecję jako „miasto kresu życia, zapadające się w swoim grobie”, Guy de Maupassant pisał zaś o „charyzmie dumy dawnej świetności, gdzie wszystko wydaje się leżeć w ruinach i w każdej chwili może zatopić się w wodzie, która je podpiera”. Lord Byron opisywał z nostalgią ginącą chwałę: „Budynki są niszczone, muzyki już nie słyszać, dobre dni minęły, pozostał tylko artyzm...”. Wszyscy oni zapewne byłiby zaskoczeni, że miasto wciąż żyje i zachwyca swoją zjawiskowością. ▶

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter, eksplorator, autor licznych książek, odkrywca źródła Amazonki; www.palkiewicz.com

OBSERWACJE





4



1. Miasto założone w 452 r.
2. Plac św. Marka.
3. Taki obrazek już zniknął.
4. 60 tys. turystów dziennie.
5. Pandemia.
6. Karnawał wenecki.
7. W mieście pracuje 400 gondolierów.
8. Pełen uroku zakątek.
9. Historyczne regaty.
10. Inwazja.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA



7



10

 Chrystian Ślusarczyk

Nie trzeba jechać w daleką podróż. Oleandry uprawiane na balkonie czy w ogródku stworzą namiastkę śródziemnomorskiej atmosfery. Pamiętajmy jednak, że te pięknie pachnące rośliny są trujące.

W latach 80. i 90. minionego wieku na korytarzach biur, w szkołach, na klatkach schodowych i w wielu mieszkaniach dominowały paprotki, szczytem florystycznej ekstrawagancji były zaś fikusy czy draceny. Otwartość na świat, jak również zachodzące zmiany klimatyczne spowodowały, że zaczęliśmy szukać nowych i oryginalnych roślin. Takich, które kojarzymy z ciepłym i słonecznym klimatem śródziemnomorskim. Jedną z nich jest bez wątpienia oleander pospolity (*Nerium oleander L.*).

Mimo przymiotnika pospolity w nazwie roślina ta z pospolitością, przynajmniej w naszej szerokości geograficznej, nie ma wiele wspólnego. Oleandry zachwycają kwiatami o imponującej palecie barw i subtelnym odcieniu: od bieli, przez róż, aż po bardzo ciemny kolor wiśniowy. Szczególnie pięknie prezentują się oleandry w kolorze bananowym.

Niemal wszystkie odmiany, z wyjątkiem niektórych o białych kwiatkach, wydzielają cudowny zapach. W otoczeniu oleandrów, zwłaszcza gdy dzień jest gorący i słoneczny,

W otoczeniu oleandrów, szczególnie w gorący, słoneczny dzień, możemy mieć wrażenie, że weszliśmy do sklepu z kosmetykami.

można mieć wrażenie, że weszliśmy do najwytworniejszego paryskiego sklepu z kosmetykami. Wyjątkowo intensywnym aromatem charakteryzują się m.in. odmiany o różowych, pełnych kwiatkach, takie jak Madame Allen. Niemal równie silny aromat wydzielają Alassio (różowe pojedyncze kwiaty), Alasca (białe z różowymi przebarwieniami pojedyncze kwiaty) czy Hardy Red (czerwone pojedyncze kwiaty).



OLEANDRY

Niebezpieczne piękno Południa

Madame Allen, Alassio, Alasca czy Hardy Red uwodzą i trują

Słońce, upał i obfite podlewanie

Chociaż większość źródeł podaje, że oleander to roślina strefy śródziemnomorskiej występująca też w wielu krajach Azji o łagodniejszym klimacie, można go dziś spotkać w wielu innych regionach świata. Na dobre zadomowił się na obszarze od Chile, poprzez Amerykę Środkową, po wiele stanów USA

Zimozielony oleander ma błyszczące, ciemnozielone liście o wąskim, eliptycznym kształcie, długości 5-10 cm, ale liście niektórych odmian osiągają nawet 21 cm. Kwiaty wyrastają z końca każdej gałęzi i tworzą charakterystyczne skupiska. Oleandry owocują – dość twarde, wydłużone, brązowe torebki o długości 5-23 cm otwierają się, gdy owoc jest już mocno dojrzały. Ze środka wypadają wówczas nasiona otoczone puszystymi włóknkami, które ułatwiają rozprzestrzenianie się z wiatrem.

W wielu krajach Europy Południowej oleandry rosną w ziemi przez 12 miesięcy w roku. W innych sadi się je w potężnych donicach, które zimą są chowane w pomieszczeniach. Tak dzieje się np. w Polsce. Jednak oleandry rosnące na stałe w gruncie można zobaczyć coraz bliżej naszych południowych granic. Ocieplenie klimatu powoduje, że rośliny te całkiem nieźle dają sobie radę w południowych Węgrzech, głównie w okolicach Peczu. Podobnie jest na pograniczu z Chorwacją.

Uprawa oleandrów jest łatwiejsza, niż się wydaje. Od jakiegoś

(w Kalifornii rośnie co najmniej 25 mln oleandrów). Występuje także w nadmorskich regionach RPA.

Oleander ma najczęściej od 2 m do 6 m wysokości. W basenie Morza Śródziemnego natrafimy jednak na okazy o wysokości nawet 8 m. Początkowo roślina ma proste łodygi, które w miarę jej wzrostu otwierają się na zewnątrz. W pierwszym roku łodygi są zielone, w następnych latach twardnieją i stają się brązowe.



Oleandry okalające Zatokę Kotorską w Tivacie w Czarnogórze.

W polskich warunkach oleandry uprawiamy w dość wysokich donicach. Rośliny lubią być przesadzone co dwa-trzy lata do odpowiednio większych donic. Nie powinno nas zmylić to, że w krajach śródziemnomorskich oleandry doskonale sobie radzą tygodniami bez wody w suchej, kamienistej glebie. W naszych warunkach musimy pamiętać, by donice z oleandrami były umieszczone w najbardziej nasłonecznionym miejscu tarasu czy ogrodu oraz o obfitym ich podlewaniu, przede wszystkim w okresie letniego kwitnienia. W gorące dni,

pamiętać, że białe mleczko rośliny może powodować poważne podrażnienia skóry i oczu oraz rozmaite reakcje alergiczne.

O trujących właściwościach oleandrów wiadano już w starożytnej Grecji, Rzymie i w Indiach – z pachnącej rośliny przygotowywano napary dla samobójców. Przed wiekami miazdzone liście oleandra stosowane były także jako niezwykle skuteczna trutka na szczyry.

Mocno toksyczny jest dym z palonych gałązek i liści. O trujących właściwościach oleandrów dotkliwie przekonano się w czasie wojen napoleońskich – żołnierze wykorzystujący gałązki roślin do wbijania na

Oleandry rosnące na stałe w ziemi można zobaczyć coraz bliżej naszych południowych granic.

czasu nawet większe sieci handlowe mają w ofercie najróżniejsze ich odmiany. 30-centymetrowe rośliny w doniczce są sprzedawane za niewiele ponad 30 zł.

Oleandry mogą rosnąć w zaskakująco marnych warunkach glebowych, wśród kamieni i żwiru, przy ruchliwych drogach. W niektórych krajach wykorzystuje się je jako rodzaj żywopłotu oddzielającego nitki autostrady. Nikt ich tam nie podlewa, nie nawozi. Nikt nie przycina. Są traktowane niemal jak chwasty.

Jak je zatem rozmnażać? Kilkucentymetrowe, niekwitnące pędy wierzchołkowe takiego oleandra chwasta umieszczamy w słoiku i już po kilku dniach wypuszczają sporo gęstych, cienkich, białych korzeni. Gwarancją, że ukorzeniona końcówka się przyjmie, jest niemal stuprocentowa. Podobne jak pewność, że roślina zakwitnie w kolejnym roku. Trudniejszym sposobem, dla cierpliwych, jest wykorzystanie nasionek z owoców, które roślina powinna mieć już późnym latem. Nasiona umieszczamy bezpośrednio w ziemi i obficie podlewamy. Po trzech-czterech tygodniach pojawią się bardzo małe rośliny, które po dwóch-trzech latach będą mogły wypuszczać kwiaty o zupełnie innym odcieniu niż roślina matka.

gdy temperatura przekracza 30 st., oleandry w donicy trzeba podlewać codziennie. Należy je też nawozić. Zasila się je nawozem dla roślin kwitnących, przez cały sezon (od kwietnia do lipca), co tydzień.

Spadki temperatury do około minus 10 st. zniszczą oleandra. Dlatego zimą powinien się znaleźć w chłodnym (7-15 st.), dość jasnym pomieszczeniu. W tym okresie roślina wymaga znacznie rzadszego podlewania i nawożenia. Podleając oleandry, nie zraszamy wodą liści.

Dla uprawiających oleandry nadrzędną zasadą powinno być: słońce, upał i jeszcze raz słońce.

Trująca oleandryna

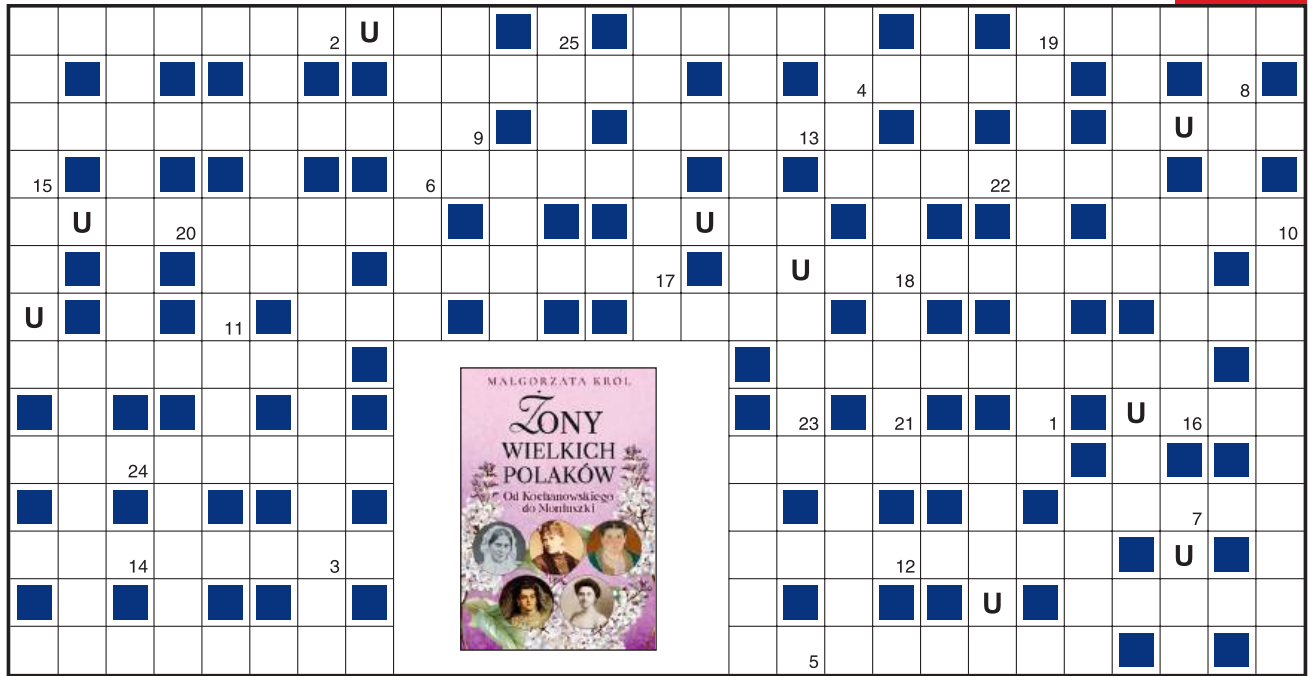
Oleander o tak pięknych i pachnących kwiatach jest trujący! Uprawiając go, gdy w otoczeniu są dzieci lub czworonogi, musimy przez cały czas być tego świadomi. Oleandryna zawarta w mlecznym soku rośliny nawet w minimalnych ilościach wywołuje brak czucia w ustach, wymioty, poważne zaburzenia pracy serca, duszności i rozszerzenie źrenic. Spożycie (w niektórych przypadkach nawet polizanie) liścia oleandra może spowodować śmierć zaledwie w ciągu kilku godzin. Przesadzając czy podcinając oleandry, trzeba

nie i pieczenia mięsa w większości zmarli! O podobnych przypadkach zatruc donoszono również w trakcie amerykańskiej wojny secesyjnej.

Oleander jest trujący dla większości zwierząt. Naukowcy informują jedynie o gazelach, które są odporne na działanie jego toksyny. Owady także boją się oleandrów i raczej się do nich nie zbliżają – wokół kwiatów oleandrów pszczoły rzadko się kręcą.

Botanicy i historycy znają wiele przykładów pokazujących skutki kontaktu człowieka z tą piękną rośliną. Z drugiej strony po ataku na Hiroszimę właśnie oleander tchnął w Japończyków sporą dawkę optymizmu. Jest on oficjalnym symbolem tego miasta. Był bowiem pierwszym kwiatem, który zakwitł po zrzuconiu na Hiroszimę bomby atomowej w sierpniu 1945 r. Jak mówią Japończycy, to hibaku, ocalony z wybuchu.

W Polsce oleandry niezmiernie rzadko zdobyły miasta, ulice czy domy. Nazwa jednej z krakowskich ulic, Oleandry, mogłaby jednak wskazywać, że pochodzi od krzewów, które rosły tam w szpalerze podczas Wystawy Architektury i Wnętrz w Otoczeniu Ogrodowym w roku 1912 r. Czyżby zatem obecny bum na te śródziemnomorskie rośliny w polskiej rzeczywistości wcale nie był pierwszym? ■



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- jego liście motywem dekoracyjnym
- Chlumsky, aktorka grająca od dziecka
- św. Róża z Limy lub utwór Orzeszkowej
- przypuszczany na wroga
- taka cecha to po przodkach echa
- w kałamarzu
- gdy sztuka idzie pod młotek
- podmuch wiatru wzywany przez Kefalosa
- Nassau ich stolicą
- rozległa łąka
- deseczki na ścianie
- osadzona na nóżce grzyba
- Londonowski Martin
- tarcza będąca atrybutem Zeusa i Ateny
- religijne uniesienie
- ideogram
- do wyrażania uczuć
- zaślepiena żarliwość religijna
- ...Narodzenia w Betlejem
- jednostka częstotliwości drgań
- zielony olbrzym z komiksów Marvela
- na niej leżeni pacjenci z chorobami wewnętrznymi
- sąsiadują z Natolinem i rezerwatem
- wykres skurczów serca
- bilet wstępu na kilka imprez
- w marcu gotów do miłosnych harców
- odpowiedź na działanie
- bila lub pocisk
- podmokła łąka w dolinie rzeki
- odblask na horyzoncie
- znak w adresie poczty elektronicznej
- językoznawca od „Ojczyzny polszczyzny”
- tybetańska – używana w dźwiękoterapii
- zażywa lodowatych kąpeli
- firmament
- zbieracz i znawca dawnych monet
- kompres
- egipskie, z Jukatenu, a nawet kujawskie
- pojedynczy cios
- stałe posiedzenia sądu poza jego siedzibą
- ruiny, nagromadzenie odłamków skał
- ciągnięte po śniegu
- część meczu siatkówki, tenisa
- ciasto jak walec z dziurą w środku
- żuk czczony w Egipcie
- autor „Księżda Marka”
- ceni dobre dania
- kształt sprężyny
- maskara, upiór, monstrum
- podpisywanie, oznaczanie nazwą firmy
- choroba dawnych marynarzy
- krążek do automatów
- i aktor, i duża moneta srebrna
- gatunek gryki
- pieczony kawałek kurczaka
- odraza, obrzydzenie
- rebus, coś tajemniczego
- coś nagromadzonego na przyszłość
- robione na nią zapasy



KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1236”. Do rozlosowania książki „Żony wielkich Polaków” ufundowane przez Oficynę Wydawniczą RYTM. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 31 sierpnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1233” z nr. 32: Prózna rada po szkodzie. Nagrody otrzymują: Elżbieta Nawrot z Poznania, Monika Romańczuk ze Stalowej Woli, Irena Walaszek z Poznania.

I po rekonstrukcji...

Rekonstrukcja w MSZ zakończyła się tym, że mamy siedmiu wiceministrów – czyli jest tak, jak było. I że swojego wiceministra straciła lewica, Andrzeja Szejny nikt nie zastąpił. Za to ma swojego Polska 2050. No i oczywiście Platforma oraz PSL. Jeżeli zatem była to rekonstrukcja, to bardzo dyskretna.

Zacznijmy więc od osoby najmniej rzucającej się w oczy w gronie nowych wiceministrów, czyli od Wojciecha Zajączkowskiego. To zawodowy dyplomata, wcześniej był m.in. ambasadorem w Rumunii, Rosji i Chinach. Kierował też różnymi departamentami. Z wykształcenia jest historykiem, studia skończył na KUL, jako specjalista od prawosławia. Potem pracował m.in. w Ośrodku Studiów Międzynarodowych przy Kancelarii Senatu oraz w Ośrodku Studiów Wschodnich. Zajmował się Wschodem, pisał na ten temat rozprawy. Jest autorem wydanej w 1993 r. książki „Czy Rosja przetrwa do roku 2000?”. Trudno ten tytuł uznać za proroczy, ale na pewno przyciągał uwagę. W efekcie dzięki swoim analizom Zajączkowski zyskał opinię osoby widzącej dalej (czy słusznie, to inna sprawa). A dzięki sposobowi bycia – niekonfliktowej.

Efekt tego widzieliśmy w roku 2017. To były rządy PiS, Witold Waszczykowski odwołał z Pekinu, po roku pracy, znakomitego fachowca Mirosława Gajewskiego i... I nagle okazało się, że nie ma kogo do Chin wysłać. Po wielu miesiącach poszukiwań zdecydowano, że ambasadorem w ChRL będzie Wojciech Zajączkowski. Bo był ambasadorem w Moskwie, czyli wie, jak działają wielkie państwa, no i niczym w Warszawie w tym czasie nie podpadł (co niekoniecznie jest komplementem). Andrzej Duda, mimo że wahał się długo, w końcu nominację mu podpisał.

Teraz więc, gdy Sikorski mianował go podsekretarzem stanu, MSZ zamieściło filmik, w którym minister mówi: „Chciałbym serdecznie podziękować za to wszystko, co pan robił w MSZ dla kolejnych ministrów. Kolejni ministrowie docenili pańską ekspertyzę w sprawach postsowieckich i Dalszego Wschodu. Teraz będzie pan mógł swoje talenty i swoje doświadczenie w jeszcze większym zakresie wykorzystać, tak że dziękuję i liczę na współpracę”.

My też mamy nadzieję te talenty zobaczyć. Choć niektórzy twierdzą, że je obserwujemy. Że te filipiki Sikorskiego dotyczące Rosji, opowieści o jej porażkach w wojnie krymskiej, w wojnie z Japonią, i o tym, że Władystok do 1860 r. nazywał się Haishenwai, nie są przecież jego pomysłami. Że konkretna osoba mu to suflowała.

Drugim nowym wiceministrem jest Ignacy Niemczycki. „Jego nominacja to ważne wzmocnienie głosu Polski 2050 w polityce europejskiej i zagranicznej”, przeczytaliśmy jeszcze tego samego dnia na stronie internetowej partii Szymona Hołowni. I wszystko jasne. Ciekawe tylko, ile osób nowy wiceminister przyprowadzi ze sobą do MSZ w ramach wzmocnienia tego głosu.

Niemczycki to były wiceminister z ramienia Polski 2050 w Ministerstwie Rozwoju i Technologii, a potem sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Wcześniej pracował też w UKIE i w polskiej ambasadzie przy Unii Europejskiej w Brukseli. Ma zatem podstawy, by nadzorować sprawę europejskie, choć trudno zakładać, by w biegu był w stanie wejść w buty Marka Prawdy. W każdym razie życzymy powodzenia.

Attaché



Brazylijczyk Coutinho na mistrzostwach w chodzeniu po taśmie zorganizowanych w Chinach. O tytuł Króla Taśmy walczyło 20 zawodników z 10 krajów. Konkurencja polegała na jak najszybszym przejściu 1000 m przy maksimum trzech upadkach.

PENETRACJE



TYGODNIK
ANGORA
MAGAZYN
KULTURY
POLITYKI
I
SPOŁECZNOŚCI

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Michał Kamiński, reprezentujący jakąś koalicyjną partię, ale że zmieniał ją tyle razy, jest bez znaczenia, z jakiego kłucza, zarabia dziś na posadzie wicemarszałka Senatu. Polityk bez wątplenia znajdujący się w stanie rozpadu psychicznego i umysłowego, uosabiający podręcznikowe symptomy ruiny. Melanż paranoi i rosnącej manii wielkości. Najpierw zarzucił Kidawie-Błońskiej, że go inwigiluje, każąc kierowcom senackim śledzić jego ruchy na mieście, potem obwinił Tuska, że obrzucił błotem amerykańskiego prezydenta i nie przeprosił!

TYGODNIK
POWSZECHNY

PIOTR ŚMIŁOWICZ,
PUBLICYSTA

Co prawda, na razie Karol Nawrocki otoczony jest politykami PiS, a w orędziu wspominał o Lechu Kaczyńskim, ale nie było w tym już tej nabożności, co w wystąpieniach Dudy. To zaś, że w żadnym z przemówień nie wymienił Jarosława Kaczyńskiego, pokazuje, że teraz to prezydent chce rozdawać karty na prawicy – korzystając z dobrych notowań także w elektoracie Konfederacji. (...) Niezależnie od tego, czy Nawrocki rzeczywiście ma już dziś takie aspiracje, na pewno nie będzie przypominał uległego wobec prezesa poprzednika. Widać, że jest po prostu typem samca alfa, chcącym wyeliminować ze swojego terytorium innych podobnych samców. Zatem nie tylko Donalda Tuska, ale i Jarosława Kaczyńskiego. Sprzyjać mu w tym będą także kwestie metrykalne.



zwierciadło **EWA PUSZCZYŃSKA,**
PRODUCENTKA FILMOWA

Warto pamiętać, że producent odpowiada nie tylko za finanse i nie tylko za twórców, ale i za ekipę techniczną. A więc również za to, żeby ekipa nie pracowała 14, 15, 16 godzin na dobę. Reżyser, operator, ja jesteśmy zaangażowani w jakiś projekt plus minus cztery lata. I przez te cztery lata jest on dla nas najważniejszy, staje się naszym być albo nie być. (...) Mamy więc do pogodzenia czas, pieniądze – których naprawdę nigdy nie jest tyle, żeby mieć komfort działania – twórcze wymagania i oczekiwania, i wykonujących swoją pracę ludzi. Nie sposób uniknąć napięć. Moim zadaniem jest rozbijać te miny jak najwcześniej. Czyli rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać. To ogromna część mojej pracy.



STYL **KAMILLA BAAR,**
AKTORKA

Od dawna chowam w szufladce marzenie: chciałabym uczyć w szkole teatralnej. Przed laty myślałam: jeśli mam być pedagogiem, muszę napisać pracę magisterską. Zabierając się do magisterki, postanowiłam aktorstwo zestawić z filozofią. Zapytałam prof. Lorenc, która wykładała w naszej szkole, czy zechce być moją promotorką. Powiedziałam, że chcę połączyć wątek Elektry ze sztuki „Oresteja” Ajschylosa z mitem tragicznym w wymiarze literackim i filozoficznym. Ucieszyła się i zgodziła. Do dziś jestem z tej pracy dumna. A w planach mam jeszcze doktorat.

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* na łóżku lub na poczcie	A	E	K	O	P	R	□
* wychodzi spod pióra	Ć	E	O	P	Ś	W	□
* żabki ją trzymają	A	A	Ł	N	O	S	□
* wyglądz włoski	B	E	G	K	Y	Z	□



ROZWIĄZANIA: KOPERTA, POWIEŚĆ, ZASŁONA, GRZEBYK



Aby język giętki...

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO O NADAŻANIU

Ekonomia nie nadaża za rzeczywistością, ale w jeszcze większej mierze polityka nie nadaża za ekonomią.

MAREK POL O KOALICJACH

Każda koalicja ma w sobie wbudowaną naturalną sprzeczność. Pogodzenie dwóch kompletnie przeciwnych potrzeb, czyli współpracy i wyróżnienia się, jest bardzo trudne.

WALDEMAR ŻUREK O PLANACH

Walczyliśmy na maksa. Chciałbym, żeby środowisko i obywatele dostrzegli, że tak pracujemy.

STEFAN CHWIN

O WYSTAWIE „NASI CHŁOPCY”

Sprawa Pomorza w armii Hitlera pozostanie, niestety, na zawsze dwuznaczna, niepokojąca i nie do rozwiązania.

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI

O MERCOSUR

Rząd nie zamierza blokować podpisania umowy Mercosur ani przyłączyć się do kilku krajów, które z determinacją walczą.

ANNA KORCZ O ODMŁADZANIU

Nie przepadam za naprawianiem „starości” z pomocą igły czy skalpela. Jest to niebezpieczne dla zdrowia, bardzo ryzykowne.

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA O SUKCESIE

Mój życiowy sukces? Wychowałam syna na mężczyznę, który nie boi się silnych kobiet.

JOANNA KRUPA O SAMOTNOŚCI

Przestała być dla mnie lękiem. Jest raczej przestrzenią, w której mogą usłyszeć siebie.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzół i.morzol@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dzon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Patkiewicz, Rafał Pikuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumulowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator do spraw promocji i reklamy:

Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: W BKPLPP, IBAN: PL

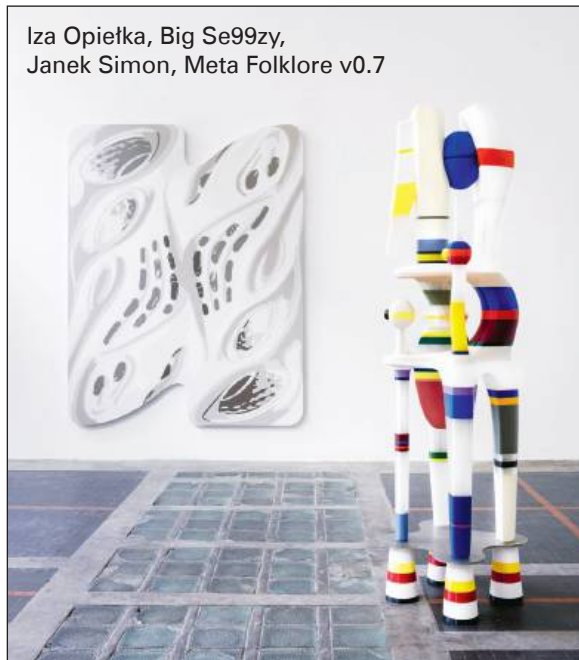
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Janek Simon, Meta Folklore v0.7



Iza Opiełka, Big Se99zy,
Janek Simon, Meta Folklore v0.7



Wystawa Karoliny Jarzębak, Izy Opiełki, Katarzyny Przeważńskiej i Janka Simona to podróż przez czas – jednocześnie ku odległej przeszłości i wyobrażonej przyszłości. Prace te, choć odmienne w formie, łączą hybrydalny charakter – tworzą nieoczywiste kombinacje elementów natury i kultury. Ich siłą jest wyjątkowa technika wykonania – sztuka bliska rzemiosłu, ale przekraczająca jego granice. Odwołując się do dawnych tradycji artystycznych – malarstwa, rzeźby, intarsji – dzieła te przekształcają ich język, by opowiedzieć o świecie przyszłości lub wizjach postcywilizacji.

Raster
Warszawa, ul. Wspólna 63
do 13 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Katarzyna Przeważńska, Catalpa Nails



Karolina Jarzębak, Memesis

KRONIKI₁₉₈₀₋₈₉ ZAPOMNIANYCH ZWYCIĘSTW

„Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach”.

(Czesław Miłosz *Traktat moralny*)

KRAKÓW i ŚWIAT
niez głoŹszy sŹdech



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Kraków

STOWARZYSZENIE
SIĘĆ
SOLIDARNOŚCI

zapraszają do udziału w konkursie

KRONIKI ZAPOMNIANYCH ZWYCIĘSTW. POLSKA 1980-89

Fenomen zwycięskiego powstania przeprowadzonego niemal bez rozlewu krwi.

Konkurs na mikroprozę opowiadającą o losach obywateli, Solidarności i kultury w latach 1980-89.

Dwie kategorie: ci, którzy pamiętają tamten czas (“Świadkowie”) i ci znający go tylko z relacji (“Spadkobiercy”).

Teksty należy wysłać do 31 sierpnia 2025 roku poprzez stronę magazynu www.KrakowiSwiat.pl (tam też szczegółowy opis)

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

Grand Prix – 15 tys. zł.

Nagroda Główna Świadkowie i Nagroda Główna Spadkobiercy – po 10 tys. zł.

Dziesięć wyróżnień po 2,5 tys. zł.

PATRONAT HONOROWY



MARSZAŁEK SENATU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Małgorzata Kidawa-Błońska



1980 - strajk sierpniowy
(fot. Wojciech Milewski / Wikipedia)



1981 - stan wojenny
(fot. J. Żołnierkiewicz / Wikipedia)



1989 - wybory czerwcowe
(fot. Ryszard Kornecki
/ zbiory Europejskiego Centrum Solidarności)

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY



PATRONAT KORPORACYJNY



PRZYJACIELE MEDIALNI:



Dzieci

w Strefie Gazy

UMIERAJĄ



unicef.pl/strefa-gazy

unicef  dla każdego dziecka